odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 43 (191)
Łódź, 29. X. 1961 r.
Cena 1 zł

Wanda Koczewska, aktorka z filmu „Drugi człowiek". Fot. W. Rozmysłowicz

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

NOTATKI LENIWEGO TURYSTY

PRZYLOT

Samolot nasz wychodzi z obłoków, lecimy coraz niżej, oto Londyn. Srebro szos, niekończące się ulice małych domków, brunatno-żółta równina miasta, przecięta potokami samochodów. I na horyzoncie, tam gdzie niebo styka się z ziemią, błękitne wodotryski wieżowców.

Po godzinie wychodzę z walizkami z dworca autobusowego londyńskiego lotniska. Uliczką, przecinającą Cromwell Road, przechodzi właśnie, kręcąc kuperkiem, młodziutką, białowłosa stewardessa. Ma długie i piękne nogi, pod pachą niesie biały hełm. Niknie mi z oczu, po chwili widzę ją znowu. Przejeżdża uliczką na skuterze, w granatowym płaszczu i białym hełmie.

Tego samego dnia, w przewodniku, oglądam plan obozu, założonego nad Tamizą przez legionistów rzymskich. Kilka przecinających się pod kątem prostym ulic, dwie lub trzy drogi, biegnące w głąb kraju i ku morzu. Za kilka dni, w British Museum, zobaczę zardzewiały i podziurawiony hełm legionisty, który przed dwoma tysiącami lat zginął tu, nad Tamizą, walcząc z barbarzyńcami.

PRZED GMACHEM PARLAMENTU

Grupa ludzi stoi przed jednym z wejść do gmachu Parlamentu. Trzeszczą aparaty filmowe, turyści z Kontynentu i obu Ameryk tłoczą się na jezdni, policjanci z trudem torują drogę czarnym limuzynom, odjeżdżającym w kierunku West Endu. Z Parlamentu wypełzają wielkie, czerwonoskrzydłe owady w białych perukach i czarnych pończochach. Każdy owad podtrzymywany jest przez mniejsze owady w spodniach w paski, cylindrach i czarnych żakietach.

A oto owad w todze fioletowej, bardzo groźny i pewny siebie. Porusza się niezgrabnie na dwóch tylnych nogach, dwiema przednimi gestykuluje zawzięcie. Pozostałe sześć nóg ukrył w faldach togi. Owad jest wyraźnie zagniewany, ale oto podskakują do niego dwa małe owady w szarych peruczkach i krótkich czarnych togach i fioletowoskrzydły zostaje wepchnięty do czarnej limuzyny, prowadzonej przez dziewczynę w zielonym uniformie. Drzwiczki samochodu zamykają się, przytrzaskując rąbek fioletu. Trzeszczą aparaty filmowe, i wielki owad w najnowszym modelu Jaguara odjeżdża ku swym owadzim sprawom, może na konferencję z ambasadorami, a może na obiad w pałacu królowej.

Turyści z Kontynentu i obu Ameryk rozchodzą się wzruszeni i podniesieni na duchu.

MUZYKA W SAMOCHODZIE

Nigdzie i nigdy tak ostro nie odczuwam terroru narzuconego nam układu cywilizacyjnego, jak w czasie jazdy samochodem, wieczorem, kiedy zapalają się neony i z radia sączy się słodko-gorzki, obolały głos śpiewaka. Terror samochodu, terror świateł, terror jakiegoś Presley'a i terror rozmówek w samochodzie jest tym bardziej przerażający, że już właściwie naturalny, że bez tego terroru nie moglibyśmy prawdopodobnie żyć.

Radio gra, przed nami i za nami sznur samochodów, neony zapalają się i gasną, keep left *) okrążamy Trafalgar Square, keep left, już jesteśmy na Oxford Street, keep left, już za nami został Regent's Park.

Uśmierzenie zmysłów, keep left, wyeliminowanie niedozwolonych emocji, keep left, posłuszeństwo wobec konwencji, keep left, samochód, to śmiertelnie poważne zwierzę (wszystkie dowcipy na temat samochodów są utrzymane w tonacji dobroduszno-kpiącej, narzuconej nam przez samochód; nie ironizuje się na temat samochodu), to zwierzę wymyte szamponem, wyperfumowane i wypastowane, to zwierzę na wysoki połysk, jest symbolem tej cywilizacji. W samochodzie — i to nawet wtedy, kiedy ów samochód jest miejscem złączenia miłosnego — odbywa się ostateczna rozprawa z Naturą. Natura traci smak i zapach, jest — jeśli w ogóle jeszcze jest — problemem do rozwiązania, krzyżówką, niczym więcej. Wszystko dla ciebie, ale nic

*) Jedź lewą stroną.

Dokończenie na str. 5

O WOLNEJ GHANIE – czytaj na str. 7

ANDRZEJ BORKOWSKI

Przeczytaj o swoim listonoszu

Codziennie odwiedza twój dom. Czasem go wyczekujesz, czasem zapominasz o jego istnieniu. Przeczytaj o swoim listonoszu.

Ty niewiele o nim wiesz, on wie o tobie wszystko. Prezentują mu się niesprzątnięte mieszkania, kobiety przyjmują go najczęściej w negliżu, stoją przed nim otworem wszystkie sekrety kamienicy. Przeczytaj o swoim listonoszu.

Jest ich w Łodzi ponad 220. Połowa pracuje od lat przedwojennych, prawie cała reszta od 1945 roku. Tylko nieliczni przyszli później. Od pięciu lat żaden z nich nie został zwolniony i nie przyjęto nikogo nowego.

Przeczytaj o swoim listonoszu. Przecież go lubisz, jego postać kojarzy ci się zawsze z ważną nowiną.

Dziś w swojej skrzyneczce znalazłeś list. To właśnie jeden z 50 tysięcy, jakie rano nadeszły do Łodzi. Twój listonosz rozniósł ich co najmniej trzysta, zawracał na pocztę dwukrotnie, taszcząc w ogromnej torbie bodaj 10 kilogramów bagażu. Jeśli go spotkasz czasem po cywilnemu, bez nieodłącznej torby, spostrzeżesz wtedy, że od dźwigania ma wykrzywione ramię. Choroba zawodowa.

O dziesiątej rano z bramy przy ul. Tuwima 38 wysypuje się blisko setka listonoszy. Wszyscy w jednakowy sposób dźwigają wypchane torby. — Pas na prawym ramieniu, ramię na zawsze zgięte od ciężaru.

NA CAŁE ŻYCIE

Dyrektor Gruzdowski wylicza: pięciu braci Żeromińskich, Płaczkowie — mąż, żona i syn, dwie siostry — Kopczyńska i Rosicka oraz obaj ich mężowie, Wiercińscy — ojciec z synem, Tomczakowie — również ojciec i syn... Lista zresztą jest niekompletna. Wszyscy tu wymienieni, to „familie" listonoszy. Zdarza się bardzo często, że ten zawód przechodzi z ojca na syna. Regułą natomiast jest, że listonosz skoro podejmie pracę w młodym wieku, nie porzuca jej aż do emerytury.

Przez ręce tych ludzi przechodzą co miesiąc dziesiątki i setki tysięcy złotych. Nadużyć prawie nie ma. W ciągu ostatnich dwóch lat zanotowano jedynie trzy sporadyczne wypadki „łańcuszko-

Dalszy ciąg na str. 6

INFORMACJE i ZACZEPKI

W kierownictwie Opery Łódzkiej nastąpiły ostatnio zmiany. Odeszła dyrektor S. Nowicka i kierownik artystyczny A. Majak. Obecnie placówką tą kierować będzie T. Laskowski (dyrektor) i Z. Latoszewski (kierownik artystyczny).

* * *

W Łodzi istnieje 249 zarejestrowanych organizacji i towarzystw. Między innymi trzy (zwalczające się?) związki hodowców kanarków, Towarzystwo Kultury Moralnej itp.

* * *

Odkryty przez „Express" i wylansowany przez „Karuzele" łódzki rysownik Kazimierz Mozolewski zdobywa sławę za granicą. Po kolumnie rysunków w miesięczniku „Polska" prace Mozolewskiego drukuje czeski „Rohacz".

* * *

Podobno 500 sztuk mundurków dla uczniów szkół zawodowych dostarczono w końcu sierpnia do łódzkich sklepów. 500 sztuk! Według danych sprzed pięciu lat w Łodzi było już prawie 15 tysięcy uczniów w szkolnictwie zawodowym a dziś? Wypadnie chyba jeden mundurek na klasę.

* * *

W Łódzkiej Filharmonii gościnnie wystąpili pianiści Hans Langer — profesor Konserwatorium w Linzu oraz Karl Peter Pietsch kierownik muzyczny Radia Linz. Melomani usłyszeli nie wykonywany nigdy w Łodzi koncert C-moll Jana Sebastiana Bacha.

* * *

Na udany pomysł wpadł kierownik sklepu muzycznego przy ul. Piotrkowskiej. Mianowicie wystawił w witrynie fotografie kompozytorów znanych z łódzkich „spotkań z piosenką". Tamże oczywiście do nabycia płyty z „Parasolkami". „Moja miła nie wyjeżdżaj" itp.

* * *

Komisja Planowania przy Radzie Ministrów przewiduje, że w roku 1965 Łódź będzie liczyła 731 tysięcy mieszkańców.

* * *

Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi w związku ze zbliżającą się 20 rocznicą powstania PPR przystępuje do realizacji filmu pt. „Drugi brzeg" będącego historią komunisty, którego wojna zastaje w więzieniu. Reżyseruje Kuźmiński, zdjęcia Chodury.

* * *

W bieżącym roku akademickim na łódzkich uczelniach studiuje około 13 tysięcy osób, w tym 120 studentów zagranicznych.

* * *

Henryk Pawlak z „Głosu Robotniczego" dał nam ostatnio przykład tak finezyjnej i celnej polemiki prasowej, że poza zainteresowanymi żaden postronny czytelnik nie może się połapać o co właściwie w felietonie chodzi.

* * *

Jak się dowiadujemy z 28 stypendiów ufundowanych przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej tylko 8 obsadzonych jest przez studentów.

J.W.

ROZMOWA ODGŁOSÓW z:

Prof. dr TADEUSZEM PAWLIKOWSKIM

kierownikiem Katedry i Zakładu Endokrynologii Akademii Medycznej w Łodzi

O

- **Tajemnicach wzrostu**
- **Możliwości oddziaływania na kierunek rozwoju człowieka**
- **Mitach i paradoksach**
- **Perspektywach endokrynologii w Polsce**

Bardzo przepraszam Panie Profesorze, za — być może — nieoczekiwane pytanie: jak można najpopularniej, a jednocześnie jak najbardziej dokładnie powiedzieć, co to jest endokrynologia?

— W ustroju człowieka i innych kręgowców występują dwa rodzaje gruczołów. Jedne — jak np. wątroba, ślininaki, trzustka produkują wydzieliny, które działają lokalnie np. w przewodzie pokarmowym. Inne to te, których wydzieliny zwane hormonami dostają się bezpośrednio do krwi. Stąd gruczoły te nazywamy pokrewnymi czyli endokrynowymi, a naukę o ich czynnościach i wpływie ich wydzielin, na organizm człowieka nazywamy endokrynologią.

— A czy w Polsce jest to nauka młoda?

— No, nie powiedziałbym tak. Pierwsi, którzy odkryli działanie hormonu, np. części rdzenia w roku 1895, to byli właśnie Polacy: prof. dr Cybulski i jego asystent prof. dr Szymonowicz. Również w okresie międzywojennym mieliśmy kilku wybitnych endokrynologów jak prof. dr Zeyland, z którym b. ściśle współpracowałem, przez Niemców rozstrzelany następnie w czasie powstania warszawskiego w szpitalu na Woli, prof. dr Ber, prof. dr Mietkiewski, i inni.

— Endokrynologia więc jest nauką obejmującą szeroki wachlarz zjawisk zachodzących w organizmie ludzkim. Które z tych zjawisk najczęściej dają o sobie znać w codziennej praktyce Pana Profesora jako kierownika Zakładu Endokrynologii AM?

— Trudno wprost zrelacjonować w czasie krótkiej rozmowy jak interesujące, a zarazem trudne są to zjawiska. Do naszego zakładu przychodzi codziennie kilkanaście listów ze wszystkich stron kraju, w których pacjenci proszą nas o pomoc i poradę w najbardziej żywotnych dla nich sprawach. Są to nierzadko sprawy b. bolesne dotyczące najbardziej intymnych stron życia ludzkiego, narosłych kompleksów wskutek niewyleczonych schorzeń rozwojowych, często listów bardzo naiwnych w formie, wskazujące jednak na rosnące zaufanie ludzi do tej gałęzi medycyny.

Najwięcej jednak porad i interwencji naszych dotyczy problemów wzrostu.

— Kiedyś matka — natura była jedynym panem i władcą człowieka również i w zagadnieniach jego rozwoju i zdrowia. Czy jednak obecnie nie popełniamy przesady oczekując od medycyny lekarstwa na wszystkie nasze kłopoty i nieprawidłowości rozwoju? Np. problem wzrostu. Ile jest prawdy w mniemaniu, że człowiek może obecnie w dużej mierze wpływać na swój wygląd, na wzrost i cały swój organizm?

— Wzrost jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym. Różne mogą bowiem być przyczyny słabego wzrostu człowieka. Może to chociażby być brak hormonu wzrostowego, który produkuje przysadka mózgowa. W tym przypadku sprawa staje się trudna i w naszych warunkach nie do załatwienia, a to z powodu braku w kraju tego rodzaju leku hormonalnego.

Są też przyczyny nieendokrynologiczne niskiego wzrostu, nie ze wszystkich jeszcze poznane, które odbijają się niekorzystnie na układzie kostnym i nie pozwalają na skuteczną interwencję lekarza endokrynologa. Zachodzi to wtedy, gdy szkielet po prostu nie rośnie, lub przestaje rosnąć zbyt wcześnie. To patologiczne zjawisko znane jest pod nazwą chodrodystrophii jest na ogół nieuleczalne.

— Czyżby to co słyszeliśmy, że dysponujemy już środkami przeciwdziałającymi zahamowaniom wzrostu z powodu nieprawidłowych procesów kostnienia w organizmie dziecka było niepraw dą?

Pani myli dwie sprawy diametralnie różne: chodrodystrophię — z zahamowaniem wzrostu na tle niedoczynności tarczycy. To ostatnie bowiem jest przyczyną najczęściej opóźnionego procesu kostnienia i przy wczesnej interwencji lekarza stosunkowo łatwe do wyleczenia. Sam miałem niedawno w naszym zakładzie 10-letniego chłopca, u którego stwierdziłem opóźnienie wieku kostnego. Jego stan rozwoju kości był na poziomie 7-letniego. W tym przypadku zastosowaliśmy leczenie przy pomocy doskonałego leku produkcji krajowej przeciwdziałającemu niedoczynności tarczycy i normującemu kostnienie w organiźmie dziecka.

— A karłowatość? Mam na myśli znanych wszystkim karłów czyli osobników o nienormalnie małym wzroście. Czy i karłowatość może być uleczalna?

— W endokrynologii bardzo ważny jest czas rozpoznania choroby. Im wcześniej rozpoczyna się leczenie tym lepsze rezultaty ono rokuje. Na ogół największe szanse daje leczenie rozpoczęte przed 14-tym rokiem życia pacjenta, a więc w czasie fizjologicznego wzrostu. Dlatego też ważne jest, aby lekarze w każdym przypadku podejrzeń o zaburzenia rozwojowe organizmu niemowlecia kierowali je do specjalisty endokrynologa. Muszę powiedzieć, że coraz częściej lekarze nasi wywiązują się z tego zadania.

Wracając jednak do karłowatości trzeba dodać, że karzeł to najczęściej rezultat zaniedbanej w dzieciństwie niedoczynności tarczycy. W odpowiednim wieku karłowatość jest możliwa do wyleczenia.

— Jakimi jeszcze możliwościami dysponuje endokrynologia w zagadnieniach kształtowania wzrostu człowieka?

— Tu nie chodzi o wyliczenie, a raczej o punktacje wskazań i przeciwskazań. Czy np. pani wie, że bardzo często u nas niedorozwój wzrostu może być spowodowany niewłaściwym odżywianiem dziecka, niedoborem w jego organiźmie białka czy witaminy A i C? W tym przypadku przepisujemy specjalną dietę z przewagą białka jak biały ser i mleko. Zdarza się też i tak, że lekceważenie ćwiczeń gimnastycznych jest przyczyną słabego rozwoju małego pacjenta. Gimnastyka pomaga w czynnościach gruczołów dokrewnych i w prawidłowej przemianie materii. Naturalnie gimnastyka w typie lekkiej atletyki.

— A pływanie?

— Tutaj panuje wiele niejasności. Utarło się mniemanie, że dziecko otyłe zdradzające nieprawidłową przemianę materii matka kieruje na pływanie i po pewnym czasie spostrzega, że nie tylko nie schudło, ale i nawet przytyło. Jest to zrozumiałe, ponieważ przy pływaniu organizm nie tylko nie wykazuje tendencji do utraty tłuszczu ale wręcz odwrotnie. Dlatego na pływanie należy kierować przede wszystkim dzieci wątłe, dla wzmocnienia organizmu i zwiększenie podściółki tłuszczowej.

— Reasumując to wszystko co Pan Profesor powiedział można wyciągnąć wnioski raczej optymistyczne. Rodzice, przy odpowiednich i wcześnie podjętych staraniach mogą korygować zahamowania w rozwoju i wzroście swego dziecka...

— Tak, ale tylko do pewnego stopnia. Wzrost zależy przecież także i od czynników genetycznych, a nawet klimatycznych. Czy zastanawia się Pani dlaczego przeciętny wzrost Szweda jest inny niż np. Włocha? Słowem trudno przypuszczać aby marzenie rodziców niskiego wzrostu o synie-olbrzymie mogło się ziścić. W większości jednak wypadków interwencja w odpowiednim czasie endokrynologa daje pozytywne wyniki.

— Czy na zakończenie wolno zapytać od jak dawna związany jest Pan Profesor z Łodzią?

— Od trzeciego roku życia. Tutaj ukończyłem gimnazjum im. Kopernika, z którym po dziś dzień jestem ściśle związany należąc do Koła Absolwentów tej uczelni, tutaj spędziłem okres okupacji, a wreszcie od kilku lat prowadzę prace dydaktyczną i naukową na Akademii Medycznej.

— Dziękujemy pięknie za interesujący wywiad. Przekazane nam przy tej okazji podstawowe wiadomości o endokrynologii zainteresują niewątpliwie naszych Czytelników i z pewnością przyczynią się do spopularyzowania wiedzy z tej dziedziny.

Rozm. **K. WYRZYKOWSKA**

JACEK LEBEN

XXII ZJAZD

XXII Zjazd KPZR toczy obrady. Co dzień prasa przynosi obszerne relacje z jego obrad i streszczenia różnych przemówień. Co dzień wieczorem telewizja przekazuje najświeższy serwis filmowy. Najpoważniejsze dzienniki zachodniego świata opublikowały w całości sprawozdawczy referat N. S. Chruszczowa. A w serwisach agencji prasowych całego świata wiadomości ze zjazdu zajmują poczesne miejsce.

Żadnemu zjazdowi spośród tych, które zdarzyły się w historii, żadnemu programowi nie towarzyszyło takie zainteresowanie jak właśnie zjazdowi KPZR. Świadczy to o międzynarodowej roli Związku Radzieckiego i o pionierskiej roli partii, która prowadzi swój naród do ustroju przyszłości, do komunizmu.

Atrakcyjność idei i żelazna konsekwencja przy wprowadzaniu jej w życie musi zdumiewać, nawet przerażać jej przeciwników. Jeden z idealistów antykomunizmu Wiliam S. Shlamm pisze: *„Wszystkie śmiałe odważne przejawy ducha ludzkiego, które nagromadziły się w ciągu wieków i wydawały się bardzo atrakcyjne nabierają w warunkach komunizmu jedności woli i konsekwencji. „Homo sapiens" zamierza obecnie ujarzmić przyrodę opanować materię, ducha, losy ludzkie, tajemnicę narodzin i śmierci i Boga... Wiara w naukę, która rozwijała się w ciągu stuleci cywilizacji zachodniej zdobyła wreszcie w komuniźmie swą rangę społeczną."*

Cabot Lodge kandydat na wiceprezydenta USA w minionych wyborach mówił niedawno w Klubie Prasy w Waszyngtonie:

„W Związku Radzieckim do partii komunistycznej należy 8 milionów mężczyzn i kobiet. Są to przywódcy krajów, ludzie o określonych obowiązkach, doskonale zorganizowani, pracujący i uczący się dniem i nocą, aby zapewnić zwycięstwo swojej sprawy w całym świecie. Chciałbym wiedzieć, czy 8 milionów najbardziej wpływowych i wytrwale pracujących Amerykanów gotowych jest również dobrze organizować się i równie wytrwale pracować?..."

Na to właśnie pytanie dotyczące możliwości sprostania wyzwaniu rzuconemu przez komunistów szukają odpowiedzi przywódcy zachodniego świata. Wyzwanie to teraz muszą traktować i traktują z całą powagą, tak że cały ładunek antykomunistycznych przesądów nie może im w tym przeszkodzić.

Ze szczególną uwagą świat przyjął słowa Chruszczowa dotyczące sytuacji międzynarodowej i politycznych zamierzeń Związku Radzieckiego. Ocena ta przesiąknięta jest duchem realizmu i dobrej woli. Dowodem zarówno jednego jak i drugiego jest następujące stwierdzenie referatu: *„Jeżeli mocarstwa zachodnie wykażą gotowość do uregulowania problemu niemieckiego, to sprawa terminu podpisania traktatu pokojowego z Niemcami nie będzie mieć takiego znaczenia; nie będziemy wówczas nalegać, aby traktat pokojowy został podpisany bezwarunkowo do dnia 31 grudnia 1961 roku".*

Raz jeszcze Związek Radziecki daje w ten sposób wyraz dążności do kompromisu w rozwiązaniu spornych problemów międzynarodowych. Raz jeszcze jest gotów poczekać na wynik trwającego obecnie na zachodzie starcia między tymi siłami, które lepiej umieją liczyć i wydają się być gotowe do rozmów i kompromisów, a tymi siłami, głównie w Bonn i w Paryżu, którym w określony sposób pojęte własne interesy nie pozwalają na rozsądną ocenę obecnej sytuacji międzynarodowej. Realizm jest potrzebny i po drugiej stronie Łaby. Potrzebny jest przede wszystkim tym kołom burżuazji, które nie nauczyły się jeszcze doceniać siły i dynamiki ustroju socjalistycznego, a z nauk historycznych nie umieją wyciągać żadnych wniosków.

XXII Zjazd zajmuje się oceną minionego sześciolecia, w którym zaszło wiele niezwykle ważkich, a nieraz i trudnych dla ruchu robotniczego przemian. A. Mikojan stwierdził w swoim arcyciekawym przemówieniu: *„Gdybyśmy nie rozgromili pod względem ideowym antypartyjnej grupy konserwatyczno-dogmatycznej — nie moglibyśmy wcielić w życie uchwał XX Zjazdu i osiągnąć tych gigantycznych sukcesów, które wsławiły nasz kraj oraz umocniły jego potęgę i autorytet na arenie międzynarodowej i które zapewniają pomyślną budowę komunizmu".* Do grupy dogmatycznej należy Mołotow, Kaganowicz, Malenkow, Woroszyłow, Bułganin, Pierwuchin, Saburow i Szepiłow. Mikojan stawia pytanie „czym wytłumaczyć opór grupy konserwatyczno-dogmatycznej?" I odpowiada „Przede wszystkim organicznym przywiązaniem jej członków do obcego marksizmowi i leninizmowi kultu jednostki, niezrozumieniem faktu, że kraj wchodzi w nowy etap swego rozwoju — okres rozwiniętego budownictwa komunizmu, że światowy system socjalistyczny przekształca się w dominujący czynnik rozwoju ludzkości i że obóz imperialistyczny utracił swą decydującą rolę w stosunkach międzynarodowych".

Na XXII Zjeździe poddane zostało ostrej krytyce stanowisko przywódców Albańskiej Partii Pracy, którzy nie zgadzają się z kursem wytyczonym przez XXI Zjazd Partii, stosują u siebie w kraju najgorsze z metod ujętych kryptonimem „beriowszczyzna". Mikojan charakteryzując metody stosowane przez kierownictwo Albańskiej Partii Pracy przytacza słowa Mehmet Shehu, który na ostatnim Zjeździe Albańskiej Partii Pracy oświadczył, że kto nie zgadza się z kierownictwem, temu należy „plunąć w twarz, dać w mordę, a jeśli trzeba — puścić kulę w łeb".

Tak zwana „sprawa albańska" nie może nie budzić niepokoju wśród wszystkich, którym jest droga sprawa socjalizmu. Można mieć nadzieję, że ruch rewolucyjny zdoła usunąć narośl niegodną tego ruchu. Obrady trwają. Do problemów Zjazdu jeszcze wrócimy.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Czarownica"

Losy duchów, korzystających w dowcipny sposób ze swych przywilejów widma w środowisku żywych, były myślą przewodnią fabuły wielu filmów René Claira. Warto przypomnieć choćby tytuły: „Upiór w Moulin Rouge", „Paryż śpi", „Upiór na sprzedaż", „Urok szatana". Te ostatnie dwa filmy znane są chyba widzom polskim stosunkowo dobrze — były przecież w ostatnich latach wyświetlane. Z satysfakcją należy odnotować fakt, że CWF uzupełnia wachlarz filmów René Claira jeszcze jednym ze starszą już datą produkcji, z roku 1942 — „Ożeniłem się z czarownicą". Ten film twórca „Antraktu" i „Bramy bzów" nakręcił w Hollywood podczas ostatniej wojny.

Przygody duchów, czarownika i jego uroczej córki niegdyś przed wiekami spalonych na stosie, a współcześnie dokuczających potomkowi swego oskarżyciela i prześladowcy — Clair zrealizował według scenariusza Roberta Pirosha i Mac Conellyego. Zabawnie połączył w swym filmie świat nierealny ze współczesnością nie pozbawiona różnych słabostek i śmieszności. „Ożeniłem się z czarownicą" jest ciągle jeszcze dla wielu reżyserów przykładem trudno osiągalnej sztuki — lekkości i wdzięku, ironii i liryzmu. Obok kapitalnych sytuacji z zastosowaniem wszystkich aksesoriów przypisanych tylko czarownikom i czarownicom, jak latające miotły i oślepiające gromy, autorzy nie poskąpili także ironii pod adresem amerykańskich dziwactw. Jest w tym filmie znany liryzm clairowski przewijający się prawie podczas całej narracji, wyrażający się podkreśleniem ludzkiego uczucia miłości, o którym twórca „Piękności nocy" potrafi mówić bardzo wiele i bardzo ciekawie.

Na każdy film René Claira składa się nie tylko atmosfera, konstrukcja dramaturgiczna, umiejętność prowadzenia narracji, ale także aktorstwo wykonawców.

Nie będzie przesadą napisać, że w jego filmach grali a wielokrotnie debiutowały i debiutowali najbardziej znane aktorki i aktorzy filmowi: Annabella, Olga Czechowa, Michele Morgan, Brigitte Bardot, Martin Carol, Gina Lollobrigida, Gerard Philipe, Maurice Chevalier, Michel Simon, Francois Perier, Paolo Stoppa.

„Ożeniłem się z czarownicą" jest świetnym aktorskim popisem Fredrica Marcha, jednego z czołowych, przedwojennych amantów amerykańskich. Oglądaliśmy go niedawno jako podstarzałego pana w filmie Delberta Manna „W środku nocy", gdzie jego partnerka była Kim Novak. W filmie Claira Fredric March ze swą nieco zimną twarzą, dostojną postacią kontrastuje z zabawnymi sytuacjami rozgrywanymi z udziałem uroczej i zalotnej partnerki Veroniki Lake, która jeszcze bardziej podkreśla komizm sytuacji swą bardzo oryginalną urodą.

René Clair w swej bardzo ciekawej książce „Po na myśle" pisze: „Pragniemy, aby utwór filmowy oddziaływał, trwał i utrzymywał się tak długo, jak to jest możliwe". Tym zdaniem można by zakończyć recenzję filmu „Ożeniłem się z czarownicą". Jest to rzeczywiście utwór filmowy, który trwa i oddziaływuje na widzów, bo po prostu ich świetnie bawi.

EWA NURCZYŃSKA

„ŚWIADECTWO URODZENIA"

Dziś 2 strony MIESZANKI FILMOWEJ

Uzyskanie Grand Prix na Festiwalu Filmów Dziecięcych w Wenecji wyprzedziło projekcję „Świadectwa urodzenia" Stanisława Różewicza w polskich kinach. Zdawałoby się, że trudno o lepszą reklamę dla filmu. Ale, jak dotąd, Polska pozostaje zawsze krajem paradoksów kinematograficznych. Filmy zdobywające nagrody za granicą nie znajdują entuzjastów wśród krajowych widzów. Nie najłatwiejsza ich problematyka, a także i formalna realizacja nie stanowią najlżejszej strawy dla żądnych rozrywki bywalców kin.

Premiera „Świadectwa urodzenia" nie wypadła w najszczęśliwszym dla filmu momencie. Po przeładowanym problematyką wojenną i okupacyjną Festiwalu Filmów Polskich zaproponowano, na pewno zmęczonym widzom, znów film pozostający w tym samym kręgu tematycznym.

Bezcelowe byłoby powtarzanie uwag o jednokierunkowości zainteresowań i ambicji polskich twórców filmowych, którzy tracą chyba kredyt zaufania wśród szerokich warstw publiczności kinowej szukającej w kinie przede wszystkim atrakcji czysto rozrywkowych. Odpowiednie dawkowanie nowych pozycji polskiego filmu, dawkowanie leżące przecież w gestii władz kinematografii pomogłoby twórcom oddziaływać a widzom percypować.

Po tych kilku gorzkich uwagach czas przejść do bohatera niniejszej recenzji filmu braci Różewiczów, filmu, który na pewno nie zasłużył na pustą widownię.

Przyznając mu duże walory, boję się jednocześnie, że „Świadectwo urodzenia" nie znajdzie adresata — nie jest bowiem w pełni filmem dla dzieci, gdyż te nie odczytają subtelności w nim tkwiących, a z drugiej strony nasi dorośli widzowie nie zbyt przepadają za filmami o dzieciach jeśli mają, tak, jak w wypadku „Świadectwa urodzenia" do czynienia z filmem trudnym.

Film Różewiczów podejmuje problematykę, która w licznej grupie polskich filmów „okupacyjnych" nie miała za wiele szczęścia — ukazuje wojnę i okupację widzianą oczami dzieci, przez dzieci przeżywaną. Konfrontacja wojny z dziecinnym światem przeżyć bohaterów filmu, jej brutalne wtargnięcie w beztroskie dzieciństwo, bezlitosne poszarpanie dziecięcych wyobrażeń, bolesny dla dorosłych obraz dzieci, którym wojna zabiera dzieciństwo i każe walczyć o własne i innych istnienie — to główne wydarzenia filmu. Twórcy „Świadectwa urodzenia" wybrali dla swego filmu jedną z najtrudniejszych, bo nowelistyczną formę. Film składa się z trzech nowel: „Na drodze", „List z obozu" i „Kropla krwi".

Trzeba przyznać, że udało się Różewiczom uniknąć niebezpieczeństwa łatwizny, które zawsze towarzyszy filmom o dzieciach. O sukcesie zadecydowała stylistyczna wstrzemięźliwość, chyba celowo dobrana wolna narracja wszystkich trzech nowel, zawierzenie sugestywnej wymowie przedstawionych zdarzeń i obrazów, które nie potrzebowały formalnych ozdobników.

Najbardziej przejmujące wrażenie wywiera pierwsza nowela ukazująca wędrówkę dwóch zagubionych w wrześniowych dniach 1939 roku ludzi — żołnierza-taboryty i chłopca, oraz ostatnia, przedstawiająca historię małej Żydówki. Realizm sąsiadujący z ogromnym ładunkiem wzruszeniowym, nasycony często goryczą i ironią, to główne walory tych opowieści. Obie te nowele zwracają jeszcze uwagę dwiema kreacjami aktorskimi — Wojciecha Siemiona i małej Beaty Barszczewskiej.

EWA SULIBORSKA

Mieszanka Filmowa

„PAMIĘTNIK ANNY FRANK"

Znaleziony i opublikowany w Holandii w 1947 roku pamiętnik 13-letniej Anny Frank zrobił błyskawiczną karierę. Przetłumaczony na dwadzieścia kilka języków stał się światowym bestsellerem. Przerobiony na scenę obiegł teatry kilkudziesięciu krajów. (Na nowojorskim Broadway'u grano go ponad dwa lata). W Polsce spopularyzowany przez „Przekrój" doczekał się książkowego wydania, a jego dramatyczną przeróbkę grano w kilku teatrach. (łodzianie zobaczyli ją w Teatrze Powszechnym.) Fakty te warto zanotować. Uświadamiają one jak ciąży nad naszym życiem przeszłość, jak trudno wymazać z ludzkiej pamięci całe okrucieństwo i zbrodnie hitleryzmu.

Anna Frank zginęła w obozie koncentracyjnym. Była jedną z milionów ofiar. Ich liczba przeraża, trudno ją ogarnąć myślą, nie daje się skonkretyzować na żadnych realnych przykładach. Miliony ludzi, z których tylko los Anny, dzięki przypadkowi wydobyty z bezimienności, został nam ukazany w wymiarach dostępnych naszemu rozumieniu. Przeżywamy go, rozumiejąc los tamtych, nieznanych z nazwiska, których żadna myśl, ani żaden gest nie przetrwał czasu danego im do życia. Stąd waga indywidualnego losu Anny Frank nadająca mu znaczenie losu milionów.

Pamiętnik żydowskiej dziewczyny stał się więc jedną z dróg powrotu do minionego czasu. Jedną z możliwości uświadomienia sobie i przeżyciu losu ludzi, którym odmówiono prawa do istnienia. Być może więc pamięcią o przeszłości, jej wagą i znaczeniem tłumaczyć trzeba ogromne powodzenie pamiętnika. Być może w niej należy szukać przyczyn zainteresowania losami Anny. Zainteresowania, które zapewniło jej pamiętnikowi, nie tylko milionowe nakłady, przeróbkę dramatyczną, ale i adaptację filmową.

Dokonał jej amerykański reżyser George Stevens, na podstawie scenariusza Francisa Goorichа i Alberta Hacketta, którzy byli także autorami jego wersji scenicznej. Jest to fakt o tyle nie bez znaczenia, że dramatyczna przeróbka w sposób zasadniczy zaważyła na charakterze filmu. George Stevens nakręcił film, którego celem jak się zdaje, było niestety tylko sfilmowanie pamiętnika. Posłużył się więc zdaniami Anny (spełniają one funkcję komentarza) i zainscenizował wydarzenia, jakie towarzyszyły życiu rodzin zamkniętych przez dwa lata na strychu amsterdamskiej fabryczki. Opowiedział na ekranie, zachowując wierność szczegółów i chronologiczną narrację ich dziejów dosłownie, tak jak przedstawiła je Anna. Nakreśliwszy takie ramy, stworzył film beletrystyczny, w którym stylizacja i upiększenia stosowane są z umiarem, choć niektóre partie filmu wyraźnie wskazują na filmową „ładność" szczegółów.

Myślę o tych zabiegach, których z wielkim trudem wyrzekają się twórcy w imię tzw. surowości formy. Upiększenia te dotyczą jednak tylko formy, mieszczą się w efektownych przenikaniach obrazu, stylizacjach na starą rodzinną fotografię, w ekspresjonistycznych ujęciach nieba, niewątpliwie ogromnie filmowej scenerii — zakamarkach starego strychu. Ta dbałość podporządkowana jest jednak konwencji filmu. Nie podbudowując klimatu w jakim dramat izolowanych od świata, żyjących w ciągłym napięciu i strachu ludzi się rozgrywa, nie niszczy go jednak. Należy zapisać to oczywiście na korzyść dobrego smaku, taktu i doświadczenia reżysera.

George Stevens posługując się realistyczną konwencją nie odtworzył w filmie klimatu grozy który przynoszą notatki dziewczynki. Należy sądzić, że nie bez znaczenia pozostał tu fakt, że film nakręcili Amerykanie. Dla ludzi, którzy zza oceanu patrzyli na wypadki ostatniej wojny, warunki w jakich żyli wtedy ludzie, są prawdopodobnie niewyobrażalne. Jest więc w tym filmie jakiś dystans, dystans nie wynikający z artystycznych zamierzeń realizatora. Dystans, którego nie umiał przełamać ani reżyser, ani scenarzyści. Wybierając najprostsze z możliwych rozwiązań — dosłowność — zrezygnowali z szansy stworzenia artystycznej fikcji, która mogłaby „wstrząsnąć sumieniami". Pamiętnik Anny Frank jest więc tylko kameralnym dramatem obyczajowo-psychologicznym o jednej z prób ucieczki przed śmiercią, bez ambicji na stworzenie uogólnień i metafor.

W tej jednoznaczności filmu trzeba dopatrywać się chyba jego zasadniczej słabości. Bowiem los Anny będąc w filmie losem jednostkowym, nie oznacza losu milionów Żydów, skazanych na zagładę. Słowa dziecka, które pisze: że zawsze kogoś prześladowano, czasem przyczyną prześladowań była rasa, dziecka, które zna cenę rezygnacji, rozumie beznadziejność ludzkiej egzystencji, jest jednym chyba z najbardziej wstrząsających dokumentów okrucieństwa czasu skazującego dzieci na taką gorzką świadomość. Tego okrucieństwa czasu w filmie właściwie się nie odczuwa. Dlatego ostatnie słowa wyjęte z pamiętnika dziewczynki „mimo wszystko wierzę, że ludzie są dobrzy" przerażająco brzmią tylko dla tych, którzy wojnę znają nie tylko z opowiadań.

Prawdziwą rewelacją filmu okazała się śliczna debiutantka Mille Perkins. Zagrała Annę Frank — dziecko, dojrzewającą dziewczynę, dorosłego człowieka z ogromnym wdziękiem. Szczególnie ładnie rozgrywając sceny w których dojrzewa jej miłość do Piotra, jej świadomość samej siebie. Także warto zwrócić uwagę na kunsztownie zbudowaną rolę ojca Anny, graną przez Josepha Schilkrauta.

MARIA KORNATOWSKA

O antyfilmie

Dotychczasowy rozwój sztuki filmowej toczył się drogą doskonalenia techniki, warsztatu realizatorskiego i środków wyrazowych. Natomiast układ dramaturgiczno-narracyjny i treści dzieła filmowego pozostawały od lat prawie niezmienione. Film był niewolnikiem anegdoty literackiej, zwierciadłem odbijającym możliwie wiernie istniejące poza nim rzeczywistości. Dzięki temu film mógł stać się namiastką literatury, dostarczając milionom widzów wzruszeń właściwych literaturze a spotęgowanych jedynie obrazową formą opowieści.

Żyjemy jednak w epoce przedziwnych rewolucji. Powieść stała się antypowieścią, teatr — antyteatrem, poezja — antypoezją. A film? Nadszedł przecież i czas antyfilmu. Co to właściwie jest ten antyfilm? Per analogiam do innych form „anty", rzec można iż jest to film zaprzeczający tradycyjnym kanonom dzieła filmowego. Warto jednak dodać, że nie ma to nic wspólnego z formalizmem. Wręcz przeciwnie.

Do lat niemal ostatnich pojęcie awangardy łączyło się prawie zawsze z poszukiwaniami formalnymi i technicznymi. Dziś sytuacja uległa zmianie. Zainteresowania twórców sięgają samej istoty filmu jako faktu artystycznego i społecznego, sięgają pojęcia filmu jako widowiska i swoistej rzeczywistości. Te przemiany datują się już od czasów „Obywatela Kane" Wellesa i klasycznych dzieł neorealizmu. Ostatnio przybrały one jednak wyraźnie na sile i śmiało możemy już mówić o pewnej tendencji w łonie światowej kinematografii.

W zasadzie, zjawisko określane mianem antyfilmu, ukazujące w istocie perspektywy filmu prawdziwego i autentycznego, rozwija się w dwóch kierunkach. A mianowicie w kierunku behawiorystycznego, z iście naukowym obiektywizmem realizowanego filmu ankiety (twórczość Jean Roucha), i w kierunku specyficznej transformacji i subiektywizacji rzeczywistości (A. Varda, A. Resnais). Pozornie przeciwstawne nurty łączy nie tylko wspólne dążenie do zrewolucjonizowania wytartych schematów filmowego opowiadania, ale także wspólne poszukiwanie jakiegoś głębszego i pełniejszego realizmu, szukanie prawdy o człowieku i w człowieku. Rouch w swoich filmach („Ja czarny", „Kroniką jednego lata") zagłębia się w skomplikowane problemy socjologiczne współczesnej cywilizacji. Resnais próbuje zaś wydobyć na jaw złożoność psychiki współczesnego człowieka. Do bitnym przykładem tej tendencji jest nagrodzony w Wenecji najnowszy film Resnais „Ostatniego roku w Marienbadzie". Film Resnais zrywa z wszelką chronologią wprowadzając stale przeplatające się z sobą trzy płaszczyzny czasowe — teraźniejszą, przeszłą i przyszłą. Zrywa z określeniem psychologicznym postaci, pozostawiając grę samych uczuć i reakcji psychicznych. Film zrywa wreszcie z anegdotą, z fabułą rozumianą jako coś pierwotnego w stosunku do dzieła i posiadającego swój niezależny byt. Osią filmu jest miłość (podobnie jak w poprzednim dziele Resnais „Hiroszima moja miłość"), miłość ze wszystkimi powikłaniami, oporami, kompleksami i wątpliwościami. Treść nasuwa zresztą różnorodne interpretacje i w każdej z nich jak twierdzą autorzy, kryje się cząstka prawdy.

Nie istnieje bowiem, ich zdaniem, jeden klucz do tego filmu, podobnie jak nie istnieje jeden klucz do rozszyfrowania rzeczywistości, naszych życiowych spraw i perypetii. W ten sposób zgodnie z założeniami antyfilmu (o ile można tu mówić o założeniach) widz staje się w pewnym sensie współtwórcą filmu nadając mu określony sens, przykładając doń określony klucz.

Do tej pory mieliśmy na ogół do czynienia z filmem — wypowiedzią autorską. Przez odpowiedni układ obrazów reżyser narzucał widzowi swój pogląd, swoją interpretację wydarzeń. Film Resnaisa prezentuje nie obrazy—znaki, ale obrazy—świadectwa, prezentuje autonomiczną rzeczywistość filmową. I do widza należy odkrycie sensu w tym świecie powikłanym i wieloznacznym.

Wieloznaczność i niejasność „Marienbadu" (wytykana ostro przez wielu krytyków) jest całkowicie zamierzona, jest miarą jego realizmu — stwierdzają twórcy filmu, reżyser A. Resnais i autor scenariusza Robbe Grillet — znany pisarz spod znaku nowej prozy i antypowieści. To co najbardziej pasjonuje w „Marienbadzie" — to operowanie prawdziwie filmowym monologiem wewnętrznym, oddanie na ekranie rzeczywistości wewnętrznej człowieka, ludzkiego sposobu myślenia i reagowania. Już „Hiroszima" ukazywała w sposób nowatorski, oczywiście jeśli chodzi o film, działanie ludzkiej pamięci, nieuporządkowany ciąg skojarzeń i myśli, łączyła fakty zewnętrzne i subiektywne przeżycia. Chwilami film sprawiał wrażenie wielkiego monologu wewnętrznego bohaterki, stawiając pod znakiem zapytania realność przedstawianych wydarzeń podanych jako obiektywne. „Marienbad" jest dalszym i bardziej konsekwentnym rozwinięciem tej metody. Subiektywne odczucia i przeżycia łączą się tu nierozdzielnie z faktami obiektywnymi a raczej pozornie obiektywnymi.

I tu dochodzimy do sedna filozofii Resnais, filozofii przesiąkniętej skrajnym subiektywizmem. Któż z nas zaręczy, że jesteśmy w stanie postrzec wiernie jakikolwiek fakt obiektywny. Rozważania mogą pójść dalej. Czy fakty takowe w ogóle istnieją? „Marienbad" jest więc filmem filozoficznym. Ukazując mechanizm naszej świadomości próbuje rozwikłać jej tajemnice. I tak po latach wracamy, acz odmiennymi drogami, do starej Eisensteinowskiej koncepcji kina intelektualnego.

NOTATKI LENIWEGO TURYSTY

Dokończenie ze str. 1

przez ciebie. Ta muzyka dla ciebie, ten ruch sztucznych świateł dla ciebie, te igły szos dla ciebie. Opuszczony przez Naturę, jesteś już tylko cząstką owego mechanizmu cywilizacyjnego, układu, który niegdyś kształtowałeś na podobieństwo układów, obecnych w Naturze.

Za kilkadziesiąt lat, żeby opisać liść albo skrzydło ptaka, albo źrenicę mrówki, trzeba będzie zapewne używać porównań, zaczerpniętych z historii motoryzacji. Dotychczas samolot porównywaliśmy do ptaka. Miną lata, i aby opisać lot ptaka, będziemy musieli przywoływać wspomnienie samolotu, owego wygasłego przodka cywilizacji przestrzennych.

NA PRZYSTANKU

Piętrowy, czerwony bus zatrzymuje się na przystanku koło Oxford Street. Stoję pierwszy w ogonku, ale nie wsiądę, bo wszystkie miejsca są już zajęte, a na dole stoi aż czterech pasażerów. Uśmiecham się żałośnie, stojący na platformie olbrzymi Murzyn z zawieszoną na piersiach maszynką do drukowania biletów rozkłada ręce i odpowiada uśmiechem. Uśmiecham się jeszcze raz, autobus rusza, Murzyn wyszczerza zęby i żegna mnie wspaniałym, pełnym uśmiechem. Nie wie, kim jestem, i nie zapamięta mojej twarzy. Nie wie, że przyjechałem z kraju, którego istnienie jest dla niego faktem obojętnym. Nie wie, że mieszkam w mieście, w którym przechodnie oglądają się na ulicy za Murzynami, w mieście, o którego trwaniu w historii nic nie wie i którego nigdy nie zobaczy. Nie mamy sobie nic do powiedzenia, dzielą nas granice, dzieli nas język, praca, miejsce urodzenia i pochodzenie, i to, że ja należę do middle class a on do lower class, i to, że on nie słyszał nigdy o poecie, który nazywa się T.S. Eliot i pracuje niedaleko stąd w firmie Faber and Faber. Nie mamy sobie nic do powiedzenia, mimo to, potrafimy się porozumieć. Uśmiechamy się do siebie, to wystarcza.

MAX ERNST

Max Ernst rozczarowuje. Spender — który pisał o Ernście bodajże w „Observerze" — wyraża się co prawda o jego wielkiej, retrospektywnej wystawie, urządzonej w Tate Gallery, dość pochlebnie. Wynika z tego jednak tylko to, że Anglików łatwo przestraszyć wizjami rozpadu i klęski. Bo Ernst straszy dzieci, a jego olbrzymie — i już w zamiarze przerażające — wizje zniszczenia są na pewno świetnymi ilustracjami do bajek braci Grimm.

Wystawa Ernsta ma zresztą nienajkorzystniejsze towarzystwo, bo wystarczy zejść o kilka tylko schodków niżej, ażeby w tej samej Tate Gallery zobaczyć wizję rozpadu na płótnach Salvatora Dali, malarza autentycznie okrutnego i chętnie ośmieszanego tak przez wrogów sztuki nowoczesnej jak i przez jej wielbicieli (najtrudniej jest nam docenić to, co nas drażni).

Wypada jednak zapisać Ernstowi na korzyść wielość form i kształtów bardzo niekiedy różnych, kilka rzeczy tego nadrealisty — chyba niezłych, choć trudno o tym orzekać komuś, kto nie jest fachowcem, bo malarstwo w stopniu znacznie wyższym, niż poezja nowoczesna, jest dziś zaangażowane w studia laboratoryjne — można by powiesić obok obrazów Strzemińskiego. Piszę: na korzyść, choć w opinii publicznej (to znaczy w opinii krytyków) liczy się styl, a więc próba ujednolicenia środków. Nie wiem jednak, czy nie żyjemy w okresie, w którym styl już nie wystarcza, przekonywującym dowodem jest tu poezja Audena, którego siła leży w łatwości operowania wieloma stylami. Podobnie z Eliotem. „Cztery kwartety" nie mogłyby zapewne powstać, gdyby T.S.E. posiadał styl. Z Polaków rozumie to tutaj N., żąda ode mnie wyjścia poza styl, pracowania kilkoma technikami. Chyba ma rację.

„KOBIETA W KOSZULI" PICASSA W TATE GALLERY

Biały ptak, gnany wiatrem
przez błękitne groby.

HAMPSTEAD WIECZOREM

Ulice pustoszeją, Londyn kładzie się spać. Hampstead, dzielnica cyganerii, sklepów z antykami i malutkich kawiarni, gdzie spotykają się poeci bez książek i malarze bez wystaw, zasypia później niż centrum Londynu. Ale i tu puby zamyka się, tak jak wszędzie, o jedenastej. Więc jeszcze jedno piwo i będziemy musieli wracać do domu.

Pijany facet opiera się o stolik, przy którym siedzimy, wita się wylewnie z N., i nagle przestaje się nami interesować, odchodzi na sztywnych nogach, opierając się o ścianę. Robi wrażenie przegranego, jak dowiaduję się od N., jest rzeczywiście przegrany. Pisywał wiersze — podobno dobre — co przynajmniej początkowo skazywało go na, mówiąc delikatnie, znoszenie pewnych niedostatków. Zrezygnował więc z pisania, zakładając jednak, że kiedy uda mu się odłożyć pewną sumę funtów, wróci do wierszy. Co postanowiwszy, zabrał się do pisania piosenek, reklamujących lodówki, czekoladki, proszki od bólu głowy i proszki do prania. Pieniądze, oczywiście, zrobił, choć zdaje się, że brakuje mu jeszcze wiele do osiągnięcia owej sumy funtów, która postanowił odłożyć. Czy wróci do pisania wierszy? I N., który go zna, i ja, który go nie znam, wiemy, że nie wróci.

Wychodzimy z pubu, pada deszcz, powoli idziem przez uśpione, wznoszące się w górę i skaczące w dół zaułki Hampsteadu. Myślę o N., który idzie przede mną, on nigdy nie będzie pisał reklamowych piosenek. Można mu wierzyć, kiedy mówi o Londynie, bo jest w Londynie zakochany a jednocześnie Londynu nienawidzi (to tu częste) a i jego stosunek do tego, co robi się tu z kulturą i w kulturze, jest co najmniej ambiwalentny. I można chyba liczyć na jego poezje, bo tłumaczy wiersze Pounda, a do tego potrzebny jest dystans i spojrzenie trzeźwe i nielitościwe.

JAROSŁAW-MAREK RYMKIEWICZ

ALBERTO MORAVIA

ARYSTARCH

Moravia o Indiach, religii i alienacji

Najbliższą książką Alberto Moravii, jednego z najwybitniejszych pisarzy włoskich, autora tłumaczonych u nas i znanych „Opowiadań rzymskich", „Matki i córki", oraz „Rzymianki", kandydata do nagrody Nobla, będzie książka o Indiach. Moravia wrócił niedawno z podróży do Indii pod wrażeniem (między innymi), że jest to kraj prawdziwie religijny, a jak się wyraził autor „Rzymianki", kraj „w całym tego słowa znaczeniu" religijny. Zdaniem wielkiego pisarza, Europejczyk może żywić złudzenia, że żyje na kontynencie religijnym, dotąd, dopóki nie pojedzie do Indii, gdyż wtedy dopiero zrozumie, że chrystianizm w tej formie, w jakiej został przyswojony przez doświadczenie europejskie, nie może być nazwany prawdziwą religią. Podróżując po Indiach Moravia uświadomił sobie, że nie ma na świecie kraju, którego tradycje byłyby w tym stopniu przeniknięte duchem religijnym. Pogląd ten jest tym ciekawszy, że pochodzi od człowieka, którego kraj rodzinny, Włochy, uważany jest za jeden z najbardziej katolickich krajów w Europie. Ale może właśnie hałaśliwa i powierzchowna religijność włoska doprowadziła pisarza do tak sceptycznych uogólnień na temat religijności europejskiej.

We wrześniu miała się ukazać (i prawdopodobnie już się ukazała) w tłumaczeniu francuskim nowa powieść Moravii „L'ennui" („Nuda"), której akcja rozgrywa się na podwójnym planie, erotycznym i filozoficznym. Trzydziestopięcioletniego artystę malarza Dino i siedemnastoletnią bogatą dziewczynę Cecylię łączy dramatyczna namiętność miłosna. Dino jest znużony otaczającą go rzeczywistością, wobec której czuje się obcy i nie potrafi znaleźć niczego co by go z tą rzeczywistością łączyło. Usiłuje nawiązać tę utraconą łączność za pośrednictwem Cecylii, ale ponieważ jedyną drogą do nawiązania kontaktu z rzeczywistością jest dla niego tylko zazdrość, więc i tutaj doznaje porażki i popełnia samobójstwo.

Drugim planem na którym rozwija się akcja są perypetie psychologiczne Dina, jego dramat oderwania się od rzeczywistości, rozumiany ogólnie na zachodzie Europy jako rezultat częstego schorzenia psychicznego — alienacji.

Alienacja jako pojęcie filozoficzne to — „wyobcowanie", proces, w którym pewne wytwory umysłu ludzkiego odrywając się od człowieka nabierają niejako samodzielnego życia, i jednostka, zamiast widzieć w nich swoje własne wytwory, zaczyna je uważać za siły obce i wrogie (niekiedy), wyższe od niej i panujące nad nią". Typowym przykładem alienacji jest proces powstawania wyobrażeń religijnych.

Moravia jest zdania, że proces alienacji, wyobcowywania się ludzi, jest charakterystyczny dla społeczeństw na zachodzie Europy, i zagadnienie to stanowi obecnie przedmiot jego zainteresowań i studiów. Utratę kontaktu z rzeczywistością nazywa on impasem, w który weszły narody zachodnio-europejskie po drugiej wojnie światowej.

Potwierdzeniem słuszności poglądów włoskiego pisarza jest bogata literatura filozoficzna i beletrystyczna w Europie na omawiany tutaj temat. Z literatury tej były, między innymi, przełożone na język polski i znane u nas utwory Camusa „Obcy" i Colin Wilsona „Outsider".

O sytuacji literatury włoskiej w obecnej chwili wypowiada się Moravia w tym sensie, że nie ma ona takiego znaczenia i wpływu w Italii, jak na przykład literatura francuska we Francji. Aktualną różnicę pomiędzy powieścią francuską a włoską widzi w tym, że pierwsza szuka nowych środków wyrazu (Moravia ma tu zapewne na myśli poszukiwania tzw. antypowieściowców Natalii Sarraute, Butora i Robbe-Grilleta) podczas gdy powieść włoska obraca się w dość wąskim jeszcze kręgu realizmu, usiłując zmienić rzeczywistość przez próbę jej opisania. Niemniej powaga i znaczenie pisarza we Włoszech znacznie wzrosły — zdaniem Moravii — w porównaniu z upokarzającą rolą literatury za czasów dyktatorskich rządów Mussoliniego. Publiczność włoska czyta więcej i niektóre książki Passoliniego, Cassoli i Elsy Morante doczekały się masowych nakładów.

Sortowanie korespondencji przed wymarszem do rejonów...

JESIENNE CHMURY

Komu potrzebne chmury, te chusty jesieni?
Górskie szczyty niechętnie okrywają się nimi.
Nie lubią ich szpitale i fabryki w miastach.
Również stare kościoły kłują je wieżami.
Lecz one obojętne bez gniewnych błyskawic
Wiszą na strychu świata.

Dopiero, gdy horyzont jest już progiem zimy.
Jesień szronu siwizny dłużej nie ukrywa.
I zdejmuje swe chusty ze szczytów i fabryk.
Chmury już niepotrzebne, szarpane przez wiatry
Opadają w zaświaty do piwnic.

JERZY S. FELIKSIAK

KARUZELA

Jasne dziewczyny na karuzeli,
Kręcą się, kręcą jak śmiechu obręcz.
Można zapomnieć, co złe, co dobre —
Zapomnieć o tym, co diabli wzięli.

Smutek kark skręcił. Żal stracił brodę.
Więc stoję wolny przed karuzelą.
Jej tryby wieczór wesoło mielą
I zamieniają miłość na drobne.

DESZCZOWE PRELUDIUM

Dawniej, gdy miłość nożem utrwalałem na pniach,
Deszcz nie zamykał mi kratą dn ,
Zbyteczny się wydawał każdy piorunochron
I śmiałem się z przechodniów pod parasolami,
A sam od nich śmieszniejszy chodziłem pod okno,
W którym mi się objawił
Człowieczy kwiat.

Teraz już podczas burzy nie wychodzę za próg.
Zabrakło niecierpliwych dróg.
Teraz świat już ma niebo latane chmurami.
Już nie szukam objawień w żadnym oknie świata
I deszcz zmywa tamtą twarz jak plakat.
Zmywa z ust karmin —
Pocałunków sól.

Dalszy ciąg ze str. 1

Przeczytaj o swoim listonoszu

wego" przetrzymywania pieniędzy (dziś nie wypłaca się jednego przekazu, jutro z nowych pieniędzy reguluje się ten zaległy... itd). Jest wielu takich, jak np. Stefan Twardowski, którzy w czasie wieloletniej służby nie opuścili ani jednego dnia pracy.

Listonoszem zostaje się więc na całe życie. Rozmawiając z nimi zastanawiałem się wielokrotnie, skąd to nadzwyczajne przywiązanie do zawodu. Praca niezmiernie ciężka, szczególnie w dni złej pogody. Zarobki zupełnie nie dyrektorskie — górna granica pensji 1170 zł. Możliwość otrzymywania od „adresata" tak zwanego datku? Niewątpliwie w jakiś sposób — tak. Niektórzy listonosze „wyciągają" tymi datkami do 2 tysięcy złotych miesięcznie. Ale przecież w innym, często nawet lżejszym, zawodzie można zarobić tyle samo bez skazywania się na humor i gest tego czy innego człowieka. Gdyby zresztą tylko o pieniądze chodziło, z pewnością listonosze nie stanowiliby tak niebywale zwartej grupy zawodowej.

Moim zdaniem główną rolę gra tu fakt, że praca listonosza ma w sobie wiele ze służby społecznej. Nie jest tajemnicą, że „najtrwalsze" są te zawody, gdzie praca polega na stałym kontakcie z ludźmi. Listonosz przywiązuje się do swoich „adresatów", jak nauczyciel do dzieci.

Zdarzało się, że listonosz o słabej woli, namówiony przez ludzi, wracał z obchodu „pod muchą". Sypały się za to grzywny pieniężne. W urzędzie Łódź 11, naczelnik Stefan Odważny w porozumieniu z całym personelem wprowadził inny system: zajrzałeś do kieliszka — przechodzisz z rejonu w rezerwę. Wykroczenia — nawet te najdrobniejsze i nawet w najbardziej „brzemienne w pokusę" dni przed wielkimi świętami — natychmiast ustały.

Listonosz sam przez się jeszcze nic nie znaczy, listonosz musi mieć swój rejon. Przejście do rezerwy lub nawet zamiana rejonu na inny, jest dla niego najcięższą karą. Każdy z nich stara się by rejonu nigdy nie zmieniać. Na całe życie...

Bronisław Pańczyk ma dziś 64 lata. Od dwudziestu dziewięciu lat, z przerwą na okres wojny, wydeptuje te same ulice. Miła, Szara, Poprzeczna, Tuszyńska... To jego drugi dom, gdzie wszyscy — dzieci i tacy, co przy nim zdążyli dorpsnąć — nazywają go „wujo". Wujo idzie, to przecież już jedenasta, ależmy się zagadały moja pani! Można regulować zegarki, kiedy przychodzi.

Pańczyk zna całe 8 tysięcy swoich „adresatów". Wie dobrze, które rodziny są skłócone — nosi przecież wezwania do sądu. Tych „sądówek" ma codziennie około dwudziestu, nie umieją ludzie zgodnie ze sobą współżyć. Wie, kto i kogo zdradził — nosi przecież anonimy, obserwuje reakcje ludzi, którzy je dostają. Wie, kto dzisiaj powinien dostać list i sam jest zawiedziony, kiedy jego obliczenia się nie sprawdzają.

Musi umieć doradzić ludziom, jak załatwiać formalności urzędowe, jak starać się o rentę. Czasem nie wytrzymuje i mówi gospodyni: „Pani, to w mojej wygódce jest czyściejsze powietrze".

PSYCHOLOG, LEKARZ, RADCA PRAWNY

Takie właśnie są funkcje, jakie spełnia listonosz wśród ludzi. Opowiada Stanisław Pallander (40 lat pracy) klasyczną historię, powtarzającą się w przeżyciach wielu listonoszy:

„Przed wojną na Piotrkowskiej 111 mieszkała pewna kobieta, która kazała doręczać listy tylko sobie, broń boże mężowi. Powiedziałem o tym koledze, zastępującemu mnie kiedy byłam na urlopie, ale on zapomniał...

— No i jak pana powitała, kiedy pan wrócił? — pytam.

— Już jej, proszę pana, nie było"

Listonosz Ryszard Sztencel co miesiąc nosił skromną rentę samotnej kobiecie na ulicę Sierakowskiego pod nr 39. Aż kiedyś nie przyniósł. Okazało się, że renta została cofnięta, kobiecina wpadła w rozpacz. Od czego listonosz? Doradził, gdzie trzeba się odwołać, w jakim terminie, jakie załączniki są potrzebne. Po roku przyszły wszystkie zaległe pieniądze, parę tysięcy złotych. Z wdzięczności „setkę" odpaliła listonoszowi.

Takie i podobne historie są na porządku dziennym. A jeszcze:

— Panie listonoszu, tak mnie w boku boli, co ja mam zrobić?

— Niech pani idzie do lekarza.

— A może pan sam by co poradził?

Pan listonosz człowiek bywały w świecie, wszystko powinien wiedzieć. Bywa często jedynym gościem w domu, można bez obawy powierzyć mu swoje radości i smutki. Ktoś jest akurat czymś zdenerwowany, a tu trzeba wręczyć nakaz płatniczy czy wezwanie do kolegium orzekającego. Ktoś inny nie otrzymał na czas abonowanej gazety. Ludzie są skłonni do awantur, często ruszają listonosza, choć nie ponosi żadnej winy. Jemu nie wolno się zdenerwować, on jest na służbie.

— Jakie cechy powinien mieć, zdaniem pana, dobry listonosz? — pytałem wielu spośród nich.

— Dobry listonosz to taki, co umie „podejść pod adresata" — otrzymywałem niezmienną odpowiedź.

A wspomnianego Stanisława Pallandra kiedyś zatrzymała na ulicy jakaś kobieta z jego rejonu. „Nie wie pan, gdzie tu jest blisko rasowy pies, bo ja mam dobrą sukę" — zapytała.

Dobry listonosz musi znaleźć odpowiedź i na takie pytanie.

GDZIE TA ULICA, GDZIE TEN DOM?

Otoczony wprost czcią swoich kolegów — listonoszy, zasiada co dzień od 22 lat przy biurku na Poczcie Głównej — pan Michał Matuszewski. Na to biurko każdego dnia trafia co najmniej 500 listów tzw. „mylnych", czyli źle zaadresowanych. Oto niektóre próbki adresów jednodniowej tylko korespondencji:

* **„Sklep z dewocjonaliami i figurami świętych „Veritas" Łódź".**
* **„Ob. Edward D. Łódź, ulicy nie znam tylko hotel wojskowy, porucznik, proszę załatwić bardzo pilne".**
* **„Ob. Wodarczyk siostra Łódź, ulica Barwickiego, piętro I, szpital Kopcińskiego sala 133 neurologia".**
* **„Pani Krystyna koleżanka z ławy szkolnej, Łódź, ul. Tkacka 21" (ten list aż z Hartford w USA).**

Najczęściej wśród mylnych trafiają się listy od instytucji do innej instytucji. Czasem dwa biura leżą na tej samej ulicy, ale nadawca nie zadał sobie trudu podania dokładnego adresu. Całe szczęście, że istnieje pan Michał, który ma w głowie wszystkie adresy, wie na pamięć, gdzie mieszczą się różne związki hodowców drobnego inwentarza i temu podobne ważne placówki. Gdyby nie on, to ilu ludzi trzeb by posadzić na tym miejscu, żeby codziennie podołali obowiązkowi ustalenia 500 adresów?

Większość listów „mylnych" w końcu dociera do miejsca przeznaczenia, jednak około 100 co tydzień trzeba wysyłać do Poznania do jedynego w Polsce „Urzędu niedoręczalnych przesyłek". Tam następuje komisyjne otwarcie listu i próbuje się ustalić adres nadawcy.

Pan Matuszewski jest rozmiłowany w swojej robocie. Z satysfakcją pokazuje mi kartkę z Węgier zaadresowaną w sposób następujący: „Stanisław Brajter reszere Lodz, ul. Pi". Nasz listonosz — detektyw wysyła kartkę do... Hali Sportowej. Kartka wraca z adnotacją: „adresat już wyjechał". Ale co nos, to nos.

Ludzie, nie męczcie pana Matuszewskiego, adresujcie dokładnie!

REJON NIE JEST USŁANY RÓŻAMI

Powstają nowe osiedla mieszkaniowe, terytorium miasta stale się powiększa. Łodzi ciągle przybywa ludności, a im „adresatów". Tymczasem ilość listonoszy jest obecnie taka sama jak przed wojną. Mogą w tej chwili pracować nieco bardziej wydajnie dzięki skrzynkom, zainstalowanym u podnóża klatek schodowych. Ale w całej Łodzi tych skrzynek jest zaledwie 9 tysięcy, podczas gdy samych większych domów mamy w mieście prawie czterokrotnie więcej.

Od pewnego czasu instalowanie skrzynek wstrzymano, „przegrały" walkę z naszym kulturalnym społeczeństwem. Powtarzają się nagminnie wypadki, że sąsiad sąsiadowi dobiera się do przegródki, giną listy i gazety. Dzieci „prują" skrzynki gwoździami szukając znaczków. Bywa, że ktoś złośliwie podpala wystający ze skrzynki rożek listu. W nielicznych tylko domach skrzynki wyglądają porządnie. Dla innych trzeba dopiero opracować model „skrzynki pancernej".

Wiele kłopotów napotyka listonosz w rejonie. Ktoś zamyka mu drzwi przed nosem i nie chce podpisać wezwania do sądu. Listonosz zostawia je dozorcy, wtedy na pocztę napływa zażalenie o zdradzie „tajemnicy prywatnej". Przyniósł dla kogoś drobną sumę pieniędzy. Adresata nie ma w domu, więc zostawia sumkę sąsiadce, o której wie, że żyje w zgodzie z adresatem. Sąsiadka pieniędzy nie zwraca, przy konfrontacji z listonoszem oświadcza: „Teraz nie mam, oddam po pierwszym". Dwie rodziny zwaśnione, listonosz winien.

Jesienią i zimą zmrok zapada wcześnie, powraca — jak co roku — zmora nieoświetlonych, zagraconych klatek schodowych i korytarzy.

W podwórkach czekają na nich rozkoszne pieski. Rozmawiałem z wielu listonoszami, ale nie spotkałem żadnego, który nie byłby co najmniej kilka razy pogryziony.

— „Tylko inkasenta od światła nie lubi, no i pana, a w ogóle to bardzo spokojny, musiał go pan chyba drażnić" — taką replikę usłyszał pogryziony listonosz Aleksander Wójcik, kiedy poszedł zwrócić uwagę właścicielce psa.

* * *

Duża sala, poprzecinana rzędami regałów z drobniutkimi przegródkami, przegródka na każdy dom. Przy regałach stoliki i taborety. O ósmej rano przychodzą worki z pocztą. Godzinę trwa segregowanie, po czym z bramy przy Tuwima 38 wysypuje się blisko setka listonoszy. Wszyscy w jednakowy sposób dźwigają wypchane torby — pas na prawym ramieniu, ramię na zawsze zgięte od ciężaru.

Obrazek, acz w mniejszej skali, powtarza się w dzielnicowych urzędach pocztowych, które prowadzą tzw. „służbę oddawczą". Z urzędu Łódź 2 na Karolewskiej o tej samej porze wyjeżdżają w kurs po mieście samochody z paczkami. Od szóstej rano stuka „telegraf". 36 listonoszy przez całe szesnaście godzin, aż do dziesiątej wieczorem czuwa w Wydziale Telegraficznym. Dziennie nadchodzi do Łodzi od tysiąca do pięciu tysięcy telegramów. W gorące dni listonosz — telegrafista nie odpoczywa ani chwili. Telegraf nie milknie nigdy, każdej nocy nadchodzi co najmniej 10 pilnych depesz. Trzeba często wędrować na pogrążone we śnie, dalekie peryferie miasta. Dwa zespoły z telegrafu (listonoszy Pilarskiego i Woźniakowskiego), zapracowały sobie w I półroczu 1961 roku na tytuł Brygad Pracy Socjalistycznej.

PRZECZYTAŁEŚ O SWOIM LISTONOSZU. CZASEM MASZ DO NIEGO PRETENSJE, ŻE SIĘ SPÓŹNIA, CZASEM WŁOŻY TWÓJ LIST DO SKRZYNKI SĄSIADA O PODOBNYM NAZWISKU. KIEDY ZAMIAST LISTU POLECONEGO ZASTAJESZ W SKRZYNCE TZW. „AWIZO" I MUSISZ FATYGOWAĆ SIĘ NA POCZTĘ, ZŁOŚCISZ SIĘ NA LISTONOSZA, ŻE BIUROKRATA, ŻE MÓGŁ PRZECIEŻ ZOSTAWIĆ LIST U SĄSIADA. POMYŚL WTEDY, ŻE NAJPEWNIEJ POPRZEDNIEGO DNIA, CZY KILKA DNI WCZEŚNIEJ POSZEDŁ KOMUŚ NA RĘKĘ I PRZEZ TO SPOTKAŁA GO PRZYKROŚĆ. BO NIE WSZYSCY LUDZIE MAJĄ KRYSZTAŁOWE CHARAKTERY I POCZUCIE OBOWIĄZKU.

ANDRZEJ BORKOWSKI

Zdjęcia:
LEON OLEJNICZAK

Pan Michał Matuszewski co dzień od dwudziestu dwóch lat każdego ranka znajduje na swoim biurku co najmniej 500 listów „mylnie" zaadresowanych. Jest chodząca książka adresowa.

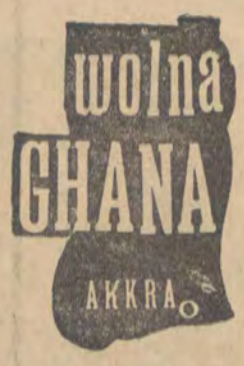

MIROSŁAW AZEMBSKI

DROGA do niepodległości

Wegetacja i skok. — Pierwszy kamień węgielny. Dwa prądy. — Misja Watsona. — Program Nkrumaha. — Schemat i niezliczone wątki. — Ashanthene zdjął amulety.

W ostatnich latach mówi się sporo — w Afryce i gdzieindziej — o tak zwanej „ghanejskiej drodze do niepodległości"; wiadomo, że lud byłego Złotego Wybrzeża przebył ją ledwie w ciągu dziesięciolecia i że sukces, który osiągnięto, jest sukcesem trwałym. Detale jednak, poszczególne etapy, rozdrobnione w napływających stopniowo notatkach prasowych, zatarły się już w pamięci i nie od rzeczy będzie dzisiaj je przypomnieć w całości. Dla reportera będzie to źródłem dodatkowych refleksji. Bo jakże zestawić to, co widział — życie codzienne, nędzne i pokryte grubą warstwą zabobonów — z dokumentami triumfalnego pochodu ku wolności? Jak znaleźć bezpośredni związek półdzikiej wegetacji ze skokiem naprzód, którego mogłoby pozazdrościć niejedno państwo starej Europy?

Gdzie szukać pierwszego kamienia milowego ghanejskiej drogi? Wyrósł on niewątpliwie jeszcze w latach czterdziestych, pośród zgiełku drugiej wojny światowej. Przyjdzie tu zgodzić się z opinią poważnej liczby znawców Afryki, którzy twierdzą, że wojna ostatecznie poderwała autorytet kolonialnego władcy jako „niezwyciężonego białego człowieka"; ten majestatyczny dżentelmen w białym korkowym kasku poczuł się w owym czasie tak bardzo zagrożony na własnej metropolitarnej ziemi, że bez najmniejszej żenady prosił o pomoc swoich czarnych podopiecznych. Battle of Britain, Hitler u bram Londynu! Pomóżcie czarni bracia, jesteście takimi samymi ludźmi jak my!

Taka postawa nie mogła nie wywołać odpowiedniej reakcji — zwłaszcza po zakończeniu wojny, kiedy Murzyn zrobiwszy co należy dla Wielkiej Brytanii, mógł już sobie odejść. W roku 1949 burżuazyjne ugrupowania tubylcze wystąpiły — powołując się na swój wkład wojenny — o zniesienie monopolu w eksporcie kakao, który dotąd przysługiwał Europejczykom. Ponieważ zaś sytuację tę gruntowała w pewnym sensie konstytucja kolonialna Złotego Wybrzeża z roku 1925, krytykowana zresztą już w czasie wojny przez lokalne organa doradcze (Joint Provincial Council, Ashanti Confederacy Council itd.) — zażądano jej zmiany.

Po wielu dyskusjach z „tubylcami", gubernator Złotego Wybrzeża, sir Alan Burns, ogłosił nową konstytucję, która stała się rewelacją polityczną w Afryce; oto po raz pierwszy w dziejach kolonialnego kraju tubylcy mieli stanowić większość w organach doradczych gubernatora! Stało się to 7 marca 1946 roku.

Ale myliłby się ten, kto by sądził, że nowa konstytucja zadowoliła Ghanejczyków. Kolonialne zwane przez Anglików „nacjonalistycznymi" podniosły ostrą krytykę nie tyle treści samej konstytucji, ile trybu jej opracowania. Konstytucja ułożona została przez samego gubernatora w izolacji, bez porozumienia z Afrykanami, i w gotowej formie dopiero przedstawiona narodowi. Był to okres silnych manifestacji ludu przeciwko władzy kolonialnej; „nacjonaliści" oświadczyli gubernatorowi, że z wyżej wymienionych przyczyn nie mają najmniejszego zamiaru łagodzić tych wystąpień. Napięcie wzrastało. W sierpniu 1947 roku „tubylcy" niezadowoleni z posunięć gubernatora utworzyli rodzaj frontu narodowego pod nazwą Zjednoczonej Konwencji Złotego Wybrzeża, który zapowiedział dążenie do przekazania władzy w kraju, w ręce tubylców. To było już coś bardzo konkretnego!

Na czele Konwentu stanął młody doktor Danquah. Określano go jako umiarkowanego tradycjonalistę i takim też mianem obdarzono jego otoczenie. Cóż to za kierunek — tradycjonalizm?

Tutaj należałoby rozwinąć szerszy wykład na temat dwu zasadniczych prądów politycznych wśród afrykańskiej elity: tradycjonalizmu i progresizmu. Jeżeli nazwy te jeszcze nic nikomu nie mówią, sprecyzujmy oba te kierunki w najkrótszych słowach. Tradycjonalista, to zwolennik wyzwolenia Afryki na bazie stopniowego umacniania pozycji przastarych instytucji afrykańskich: wodzostwa, autonomii okręgów plemiennych i tak dalej. Promu kilkadziesiąt stron w swojej „Afryce od wewnątrz", zaś sam Nkrumah poświęcił sobie w „Autobiografii" stron kilkaset. Obie te publikacje są w Polsce szeroko czytane. Reporter miałby zatem jeszcze możliwość przekazania czytelnikowi wrażeń z osobistych spotkań, ale zły los spłatał mu tutaj przykrą niespodziankę: podczas mego pobytu, Nkrumaha w Ghanie nie było. Niech mi będzie jednak wolno przytoczyć impresje znanego filmowca, Tadeusza Jaworskiego, który więcej miał ode mnie szczęścia i dwukrotnie widział prezydenta Ghany. Szczególna wymowa opowiadania Jaworskiego polega — moim zdaniem — właśnie na zestawieniu obu sytuacji...

„Po raz pierwszy widziałem go w Takoradi, kiedy przybył z Anglii, gdzie królowa obdarzyła go tytułem „prywatnego radcy" dworu, jako pierwszego w historii Murzyna. Nie muszę dodawać, że stało się to okazją do szumnej manifestacji, w której wzięli udział Anglicy z likwidującej się już administracji. Impreza była nader malownicza. Na brzegu czekało kilkunastu wodzów w strojach narodowych, pod parasolami, które są symbolem ich władzy. Anglicy wystąpili z niemniejszą pompą; wojskowi w mundurach z osiemnastego chyba wieku, ze szpadami przy boku. Gdy statek dobił do nabrzeża na trapie ukazał się Nkrumah, ubrany w elegancki garnitur europejski, poważny, nieprzystępny. Jego przemówienie powitalne było beznamiętne, niemal uroczyste. Nie utracił swojej powagi nawet w momencie, gdy czarownicy zaczęli odprawiać nad nim mody i zaklęcia pomyślności...

Drugi raz spotkałem go w rozgłośni Radio of Ghana. Przyjechał samochodem bez żadnej eskorty, chciał wygłosić ex promptu jakieś przemówienie. Przypadkiem wszyscy w rozgłośni byli Europejczykami, radio obsadzone było wówczas jeszcze przez Anglików. Nkrumah żartował, rozmawiał swobodnie z pracownikami, jak ze starymi przyjaciółmi. Było to dla mnie kompletnym zaskoczeniem: spotkałem po prostu innego człowieka. Zesztywniał jednak znowu, gdy w rozgłośni pojawił się któryś z jego czarnych ministrów. Wtedy zrozumiałem o co chodzi. Tamten Nkrumah, kroczący godnie przed frontem wodzowskich parasoli, był Afrykańczykiem w europejskim garniturze, który wysoko musiał trzymać aureolę władzy wobec swoich rodaków, naczelników plemiennych, od wieków uznających ten styl ceremonii. Nkrumah numer 2 był Europejczykiem w afrykańskiej todze, człowiekiem, któremu nie obcy jest styl myślenia „białego", humor, sposób bycia..."

Interesujące! Jeżeli dzisiaj przebąknie się o programowym kulcie jego osoby w niepodległej Ghanie, to nie mamy wątpliwości, dlaczego Nkrumah na coś takiego pozwala.

Ale skończmy z wybieganiem naprzód. Jesteśmy jeszcze na przełomie lat 1946-1947.

Nowy ton, który wnosi Nkrumah, podoba się ludziom; podoba się jego energia i radykalizm, zwłaszcza ta cecha ostatnia, jakkolwiek daleki jest on od komunizmu przypisywanego mu przez politycznych adwersarzy. 16 grudnia 1947 roku zostaje sekretarzem Konwecji, wprowadza na szerokie wody ruch nacjonalistyczny, dotychczas ograniczony do niejasnych dumań o zemście na kolonialistach.

Nadchodzi rok 1948, pełen niepokojów i zamieszek; Złote Wybrzeże drży w posadach. Lud, popadający w coraz bardziej beznadziejną nędzę, burzy się, bojkotuje sklepy europejskie. Pod pałacem gubernatora manifestują byli kombatanci drugiej wojny. Policja otwiera ogień — pada dwu zabitych i pięciu rannych. „Tubylcy" odpowiadają atakami na białych; znowu zabici i ranni z obu stron. Gubernator każe aresztować i wydalić z Akry Nkrumaha i innych przywódców Konwentu — aczkolwiek nigdy, ani przed tym, ani po tym, nie udowodniono im żadnych związków z manifestantami.

Rząd brytyjski zaniepokojony sytuacją, wysyła do Akry specjalną komisję w celu zbadania zajść, przewodniczy jej Aiken Watson. Pan Watson prowadzi długie rozmowy z Afrykanami i wysyła na koniec raport do Londynu, stwierdzający, iż wszelkie zmiany konstytucyjne nie powinny być w przyszłości opracowywane bez udziału tubylców; tutaj tkwi i będzie tkwić przyczyna niezadowolenia.

Co na to przywódcy Konwentu? Musimy cofnąć się nieco w relacji; zanim jeszcze Londyn zdążył wyciągnąć jakiekolwiek wnioski z raportu Watsona, w łonie Konwentu nastąpił rozłam. Nkrumah, oskarżony przez tradycjonalistów o radykalizm, usunięty zostaje z organizacji. 12 stycznia 1949 roku zakłada własną Ludową Partię Konwecji, opartą na świeżych, prężnych elementach ze stowarzyszeń młodzieżowych. Odtąd oba odłamy wystąpią do otwartej walki ze sobą.

Jaki jest program Nkrumaha, teraz nieskrępowanego manewrami lokalnych arystokratów? Ogłasza on program tak zwanej „akcji pozytywnej". Wychodzi z założenia, że naród, który w większości nie umie czytać ani pisać, da się porwać jedynie działaniem, akcją wymierzoną przeciwko kolonialistom, ale akcją bezkrwawą, mieszczącą się w ramach konstytucyjnych. A więc agitacja, kampania prasowa, strajki, bojkot firm europejskich...

W trakcie „akcji pozytywnej" wybuchają znowu zamieszki w mieście Takoradi-Sekondi i doktór Nkrumah raz jeszcze bezpodstawnie oskarżony, idzie do aresztu. Tym razem zostaje skazany — na rok więzienia. Dla uspokojenia Złotego Wybrzeża władze brytyjskie publikują kolejną konstytucję; jest to dzień 30 grudnia 1950 roku. Konstytucja przynosi dalsze rozszerzenie udziału Afrykanów w organach doradczych gubernatora i zapowiada wybory do Parlamentu Złotego Wybrzeża.

Z wyborów wychodzi zwycięsko partia Nkrumaha (CCP), cztery partie umiarkowanych tradycjonalistów ponoszą zdecydowaną porażkę; w tych warunkach nie ma innego wyjścia, jak zwolnienie Nkrumaha z więzienia.

Nowy parlament przystępuje do pracy w lutym i pod przewodnictwem Nkrumaha wysuwa następujące żądania: 1) uzyskanie członkostwa plenu jure w Brytyjskiej Wspólnocie, 2) przyciąganie kapitałów obcych do inwestycji w gospodarkę kraju, 3) afrykanizacja kadr administracyjnych.

„Dialog z Londynem" trwa blisko 7 lat. Nkrumah wygrywa kolejne wybory, ostatecznie pognębia tradycjonalistów. Ci ostatni, zgrupowani zwłaszcza w Ashanti, wywołują krwawe incydenty w Kumasi, stolicy tego kraju. Ich hasłem jest federacja prowincji Złotego Wybrzeża — a więc program podobny do tego, z którym wystąpił Czombe, kiedy rodziła się niepodległość Konga. Czy Londyn nie miał ochoty popierać w tym wypadku tak ulubionego przez siebie separatyzmu czarnych wodzów? Prawdopodobnie było już na to za późno — za silny był Nkrumah i stojąca za nim postępowa opinia. Wewnętrzne spory „tubylców" mogły się natomiast skupić na kolonialistach — nie pozostawało więc Londynowi nic innego, jak przywrócić ład i spokój. Partia Nkrumaha wdaje się więc w pertraktacje z opozycją i oświadcza gubernatorowi jasno, że spokój powróci dopiero... po ogłoszeniu pełnej niepodległości Złotego Wybrzeża.

Brytyjczycy nie mają wyjścia: 6 marca 1957 roku proklamowana zostaje uroczyście niepodległość Złotego Wybrzeża. Nowe państwo przyjmuje tradycyjną nazwę Ghany. Kończy się żmudna droga do niezależności, którą nazwano „ghanejską" — czyli pokojową, parlamentarną, legalną. Czy była ona aż tak dalece pokojowa i nierewolucyjna? Sporo na tej drodze pozostało ludzkich ofiar. I jeśli łagodność i konstytucjonalizm, to przecież z przedstawionych wypadków wynika, że każdy istotny krok naprzód robiono wtedy, gdy za oknami pałacu gubernatora protestował lud — przeciwko wszystkim kolonialnym konstytucjom, przeciwko każdej formie kolonializmu...

Tak się przedstawia relacja z marszu po ghanejskiej drodze. Schemat, w który należałoby dopiero wpisać niezliczone wątki historii ludzkich — intrygi wewnętrzne i zewnętrzne, dramaty ambicji i władzy, w których obok czarnych polityków w parlamentarnych perukach występuje juju zaklęty w jakiś niepozorny przedmiot oraz słynny Złoty Tron króla Ashanthene, symbol feudalnej władzy.

Nkrumah dotrzymał obietnic — w wolnej Ghanie zaprowadził porządek i spokój. Stary król Otumfuo Ashanthene Nana Sir Osei Agyeman Prempeh II — bo tak brzmi jego pełny tytuł — ucałował publicznie zwykłego pana Nkrumaha i scenę tę utrwalił dla historii obiektyw fotograficzny. Ashanthene zdjął swoje amulety oraz tkane złotogłowiem szaty i poszedł grać w golfa. Podporządkował się formalnie prezydentowi Ghany. Ale instytucja wodzowstwa, której jest najwybitniejszym przedstawicielem, istnieje nadal i kto wie, czy nie da jeszcze o sobie znać reakcyjnym wyskokiem.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

CAŁY ŚWIAT GRA KOMEDIĘ

O tym, że wszyscy, że cały świat gra komedię, wiedzieli już starożytni, o czym świadczy ich aforyzm: totus mundus agit histrionem. Dlaczego gra tę komedię? Dlatego, że chce się wydać innym, niż jest w rzeczywistości. Czyżby więc hołdował programowo świadomej obłudzie? Owszem, ale w tej obłudzie jest metoda, a w tej metodzie ziarno prawdy, które dobrze świadczy o naturze ludzkiej.

Dlaczego dobrze? No bo jeżeli człowiek nie chce być tym, kim jest, to znaczy, że chce być tym, kim jeszcze nie jest, a kim chciałby być. Czy kimś lepszym od siebie dotychczasowego? Wydaje się, że tak, bo na ogół nikt w oczach drugiego i w tak zwanej opinii publicznej nie pragnie uchodzić za gorszego, lecz za lepszego, niż jest w rzeczywistości. Stąd problem udawania, obłudy, robienia sobie twarzy, przyprawiania „gęby", problem nie tak prosty do zakwalifikowania etycznego, jak to by się na pierwszy rzut oka wydawało. W każdym bowiem udaniu i obłudzie, jeśli tylko nie mają one na celu doraźnego oszustwa i wyzysku (jak na przykład u złodziei, hochsztaplerów i bandytów), jest pewna doza tęsknoty do ideału, do wzoru doskonałości, której człowiek udający nie ma, a do której dąży.

Zwierzęta nie dążą do żadnego ideału i dlatego nie udają i nie są obłudne, są absolutnie szczere, są jedynie sobą zawsze i wszędzie, nie chcą być czymś innym, niż są — dlatego często są tak kłopotliwe podobnie jak dzieci. I podobnie jak dzieci niektóre ze zwierząt naśladują ludzi czy to w gestach, czy w głosie — z tą różnicą, że dzieciom w miarę upływu lat udaje się to naśladowanie i z czasem stają się ludźmi dorosłymi o pełnych umiejętnościach udawania i obłudy, a zwierzętom nie udaje się to nigdy w całej pełni i dlatego pozostają nadal zwierzętami.

I oto jesteśmy u sedna rzeczy. Obłuda i udawanie, tak charakterystyczne cechy rodzaju ludzkiego, kryją w sobie spontaniczną potrzebę

kultu. Czego? Jakichś wartości, które przerastają miarę wartości posiadanych przez tego, który temu kultowi hołduje. A hołduje mu bezwiednie, stosując udawanie lub obłudę czyli chcąc się wydać lepszym, niż jest w rzeczywistości. Tak to kult jest czynnikiem przemiany człowieka czyli jest źródłem jego kultury. A człowiek kulturalny to właśnie człowiek przemieniony z trogolodyty, jakim był w zamierzchłej epoce dziejów ludzkich, w człowieka o świadomej potrzebie własnego doskonalenia we wszystkich dziedzinach swej działalności, jakim jest dzisiaj.

Albert Camus powiedział, że „człowiek jest jedyną istotą, która nie zgadza się być tym, czym jest", że jest jedynym stworzeniem, które się ustawicznie buntuje prze-

Dalszy ciąg na str. 11

odgłosy str. 7

ZBIGNIEW NIENACKI

WĘDRÓWKA PO SCENACH

Nareszcie wydawało mi się, że jestem w prawdziwym teatrze. Przed kurtynę wyszedł najpierw bardzo sympatyczny pan i powiedział nam — to jest publiczności — że podczas trwania przedstawienia możemy głośno wyrażać swą radość i niezadowolenie, możemy krzyczeć, wołać, mruczeć i tupać nogami. Nie wolno nam tylko — zaznaczył ów miły Pan — rozmawiać ze sobą podczas spektaklu, bo rozmowy przeszkadzają aktorom. Nie rozmawialiśmy więc, natomiast głośno wyrażaliśmy swoją radość i niezadowolenie, wołaliśmy „tak" lub „nie", głośno kogoś wzywaliśmy, krzyczeliśmy, nawet nas do tego zachęcano wprost ze sceny.

Nareszcie wydawało mi się, że znajdowałem się w prawdziwym teatrze. Nareszcie, wydaje mi się, oglądałem sztukę, w której coś się działo. Żałowałem tylko, że choć była to premiera prasowa, na sztuce, o której mowa znajdowały się tylko dzieci łódzkich teatralnych recenzentów, a nie oni sami. Przekonaliby się naocznie jak to jest przyjemnie siedzieć w krzesłach, gdy na scenie zawiązuje się prawdziwa akcja, spiętrzają się zdarzenia, człowiek jest ciekaw co będzie dalej i czym się to wszystko skończy.

Jaka szkoda, że to tylko bajka dla dzieci. Bajkę tę napisała Irena Prusicka, nosi tytuł „Srebrne pantofelki", a wystawił ją Teatr im. Jaracza. Jest to właściwie widowisko, z barwnymi dekoracjami, z baletem dziecięcym, bardzo uroczym zresztą. Przemiło było oglądać dzieciaki z Dziecięcego Społecznego Ogniska Artystycznego tańczące na scenie, uwijające się po niej ze swobodą dorosłych aktorów.

Inscenizował sztukę i reżyserował Janusz Mazanek, scenografię (b. dobrą) zrobił Antoni Bystroń, a choreografia należała do Haliny Koszelowej. Z aktorek najbardziej podobała mi się Jadwiga Siennicka w roli uroczego podfruwającego Kanarka, rozczarowała mnie, natomiast Alina Kulikówna jako Sierotka Marysia. Zygmunt Nowicki jako Półpanek szczególnie frapował publiczność, doskonały wydał mi się Bohdan Wróblewski w roli Osiołka Kłapoucha. Z pozostałej obsady wymienić należy: Wiesława Ochmańskiego, Alicję Krawczykównę, Jerzego Balbuza, Barbarę Walkównę, Bożenę Darlakównę, Jerzego Szpunara, Zofię Molicką, Józefa Łodyńskiego, Krystynę Łapińską.

Po opuszczeniu teatru nasunęło mi się kilka refleksji. Czym wytłumaczyć brak krytyków teatralnych na spektaklu „Srebrnych pantofelków"? Czyżby sztuki dla dzieci pisało się łatwiej niż dla dorosłych? Myślę, że jest odwrotnie. Prusicka okazała kunszt w bardzo trudnym gatunku scenicznym. Okazała się nie tylko dobrym znawcą rzemiosła dramaturgicznego, ale i dobrym psychologiem, choćby przez to, że wprowadziła na scenę nie postacie wymyślone, ale już istniejące realnie w książkach, a przez to znane dzieciom i bardzo im bliskie. To samo myślę o reżyserii. Trzeba naprawdę wielkiego kunsztu inscenizatorskiego i reżyserskiego, aby przedstawić widowisko, w którym jest tyle ruchu, tyle postaci naraz. I w którym grają dzieci i dorośli aktorzy. Radzę zobaczyć jak u Mazanka „gra" tak zwany „drugi plan".

... Niestety, w Teatrze Ziemi Łódzkiej, nie wyszedł nikt sympatyczny przed spektaklem „Deszczu" Zeydler-Zborowskiego. A tak się chciało głośno krzyczeć i głośno tupać nogami. „Deszcz" jest sztuką sensacyjną w trzech aktach, kiepską „Kobrą". Nic dobrego nie potrafię powiedzieć o „Deszczu", ponieważ wszystko co w nim dobre i intrygujące dzieje się poza sceną, w prehistorii, i autor tego po prostu nie napisał. A to co napisał, nie jest ciekawe. Pointa sztuki okazuje się zaskakująca w najgorszym znaczeniu. To było tak jak by autor napisał dwie sztuki, z jednej wziął trzy i pół aktu, a z drugiej zakończenie.

Mógłbym powiedzieć, że nie wiem kto sztukę reżyserował, kto w niej grał, albowiem nie sprzedawano programu. Ale nie będę przewrotny — wiem przecież, że reżyserował sztukę Czesław Staszewski, on także, (nie najlepiej) grał jedyną męską rolę. Najciekawsza w sztuce wydała mi się A. Sobieraj, to chyba bardzo dobra i ciekawa aktorka. Gdybyż tak można zobaczyć ją w jakiejś dobrej roli? Z uznaniem trzeba się wyrazić o A. Byrskiej, nowym nabytku tego teatru. W pierwszym akcie trochę, jak to się mówi, „jechała po tekście", zbyt mocno akcentowała go, ale też i co to za tekst, daj Boże zdrowie wykonawcom. Trzecią kobietę w tej czteroosobowej sztuczce zagrała poprawnie M. Patyńska. Dekoracje, trochę kłopotliwie werystyczne (po co ten wielki piec, skoro nie grzeje?) zaprojektował St. Węgrzyn.

A mówiłem: nie sprowadzać po omacku sztuk z Warszawy, bo nic dobrego z tego nie wynika? Nikt jednak nie chce nikogo słuchać, nikt nie bierze pod uwagę tego, co się pisze i tego, o czym się dyskutuje.

Przed ekranem telewizyjnym oglądałem kiedyś kilka poważnych osób dyskutujących o programie „Małej sali" w Teatrze Nowym. O czym oni nie mówili? O współczesnym repertuarze, który powinien się znaleźć na małej scenie, o eksperymentowaniu, o warsztacie młodego dramaturga, o awangardzie teatralnej. I co? Nic. Zobaczyliśmy „Grzegorza Dyndałę" Moliera, w reżyserii Stanisława Łapińskiego.

Nawet najgorszy Molier lepszy jest od Zeydler-Zborowskiego. Jak się kto uprze, można „Dyndałę" wystawić bardzo współcześnie, przedstawić go nie tyle jako „Męża pognębionego", ile jako współczesnego człowieka, któremu ten i ów wmawia, że czarne to jest białe, a białe to jest różowe, a gdy ów przemiły prostaczek opponuje, jeszcze mu tu i ówdzie dają po krzyżu i uważają za nieokrzesanego prostaka. W Teatrze Nowym nie pokuszono się o taką interpretację — co jest dozwolone i nikt tego za złe mieć nie może. Przedstawienie było staroświeckie, aktorsko chyba nierówne, co jest tym dziwniejsze, bo Stanisław Łapiński potrafi z aktora wydobyć maksimum wysiłku.

Rozczarowała mnie Maria Białobrzeska w roli pani de Sotenville, za bardzo była „na jedną nutę", natomiast mile zaskoczył bywalców teatru Edward Wichura jako Dyndała. Bohdana Majda sprawiła mi przykrość. Nie, nie dlatego, aby w ogóle źle zagrała. Była dobra, tylko że taka sama jak zawsze, z tymi samymi gierkami, zalotnością, którą obserwowaliśmy w tylu sztukach i oklaskiwaliśmy gorąco, ale teraz się nam znudziło. Bardzo podobał mi się Adam Daniewicz w roli pana de Sotenville, dobry był chyba i Janusz Kubicki. Mniej interesujący wydał mi się Bogdan Baer i Maria Górecka jako żona Dyndały.

Myślę, że „Grzegorz Dyndała" przyda się naszej młodzieży szkolnej ze starszych klas. Oczywiście bardzo żal tej wielkiej szansy, jaką przynieść mogła Łodzi „Mała sala" Teatru Nowego. Nie widzę powodu, dla którego świat kulturalny Łodzi ma być traktowany pogardliwie i nie ma prawa zobaczyć tego, co oglądać można w innych miastach. Dlaczego mamy być odcięci od współczesnego awangardowego repertuaru? W swym artykule o problemach współczesnego teatru powiada Dürrenmatt, że teatr stał się skrzyżowaniem muzeum i eksperymentu. Lubię muzea, co roku wyjeżdżam na archeologiczne wykopaliska. Ale lubię także i teatr. Na Boga, czy nie za dużo archeologii w naszych teatrach?

Byrska, Patyńska, Staszewski, Sobieraj w sztuce „Deszcz" (Teatr Ziemi Łódzkiej). Fot. W. Rozmysłowicz

Edward Wichura w roli Dyndały w Teatrze Nowym Fot. G. Puciato

TADEUSZ PAPIER

HISTORIA nie jednego człowieka

Nie będę sprawdzał konkretnej, autentycznej prawdy, którą podaje autor. Tej prawdy sprawdzić się nie da, tę prawdę trzeba przyjąć. Autor opowiada o ostatnich miesiącach pobytu na ziemi niczyjej, która istnieje jak by poza czasem. Garstka byłych oflagowców uwolniona pewnego dnia od hitlerowskich strażników zyskuje wolność. W cudzysłów trzeba opatrzyć to słowo, już zbierają się siły, które próbują nadać swoisty sens nowemu życiu. Akcja nie rozgrywa się już w obozie otoczonym drutem kolczastym, z czającą się zewsząd grozą śmierci, zamiast bryłki gliniastego chleba były jeniec ma amerykańskie suchary, konserwy, czekoladę, papierosy, koniaki, wymienia je na miłość, żywność, po Amerykanach, którzy tutaj popasali w charakterze zwycięzców i wyzwolicieli zostało parę puszek, o które biją się kundle, zapach rozlanej benzyny, miejscowość jest martwa jak dwa dni temu, kiedy wszyscy czekali na zmianę. Zmiana nadeszła, byli jeńcy są wolni, występują w charakterze zwycięzców, dla nich teraz napisy „Tylko dla aliantów", lokale, szepty stręczycieli „Ham'se vielleicht dollars"? ale jest to wolność rozbitków, ludzi wyrzuconych na brzeg po katastrofie okrętu. „Nasi alianci walczą, powiada sanacyjny pułkownik zmęczony zresztą swoją rolą, a Polska nie jest taka, za jaką umierali nasi bracia pod Monte Cassino i pod Narvikiem..... tu będziemy oczekiwać na dalsze rozkazy, niech każdy w swoim sumieniu..."

Krzemiński bardzo interesująco przedstawił ten obraz Polski na ziemi niemieckiej, niezwykłe instytucje w rodzaju polskiego miasta w Niemczech zachodnich, organizacje, którym różni nadawali różny sens, kompanie wartownicze, szpitale dipisów, to też jest historia, powiada autor, historia Polaków. „Polską żyło całe mrowie na co dzień... jeszcze płakali, śpiewając pieśni i hymny narodowe, śpiewali je po trzecim kieliszku samogonu, przed śniadaniem i po kolacji, do ślubu i na chrzcinach... Ale to wciąż była Polska — marzenie, nie z tego świata, ziemia obiecana.

Włodzimierz Krzemiński

„Ja rozumiem, że panowie nie chcecie wracać, biedna Polska prawda? Taka straszna wojna i teraz znowu die Bolschewisten... A tu życie zaczyna się organizować, nabierać pierwszych rumieńców, stręczyciele w mundurach i bez mundurów wskazują kierunek na zachód, schön ist's hier, nicht wahr? Racja, to przecież Niemcy przegrali wojnę, a my tu teraz popijamy i nie wiemy, co o sobie sądzić.

Decyzja nie przyszła łatwo, powiada autor, ale motywów powrotu nie podaje wprost, szukać ich trzeba w raportach z każdego dnia, człowiek pozbawiony informacji o kraju, „wystawiony na przeciągi sprzecznych idei i dążeń" nie odnajduje łatwo kierunku marszu, nawet głos serca bywa tu zawodny. I w tej powściągliwości wykładu, umiejętności opowiadania, „przechodzenia zdarzeń w porządku,, w jakim się jedne z drugich wywijały, mieszając szczegóły i anegdoty, gdzie z okoliczności wypadnie" (jak chce Mickiewicz) widzę jedną z zalet książki Krzemińskiego. Można było się obawiać taniego sentymentalizmu. Autor ustrzegł się ckliwości. Jest rzeczowy, relacjonuje fakty i zdarzenia niemal sucho (bez patosu!), nie przeciąża komentarzem. Obrazy wspomnień układają się w tok swobodnej narracji, komentarz pozostawia autor czytelnikowi. „Historia, powiada poeta, będzie najlepsza, kiedy opowie się ją jak historię jednego człowieka", w wypadku prozy Krzemińskiego recepta okazała się bardzo trafna.

Włodzimierz Krzemiński, JEDNAK JESTEM!... Wydawnictwo Łódzkie, 1961, str. 207, cena zł. 14.

KRÓL SALOMON ODPOWIADA

PAN BRONISŁAW N. Z MŻYKÓW DOLNYCH. Nie jesteśmy pewni czy to, o co Pan prosi, pozwoli Panu spokojnie wracać do domu po godzinie 24-tej nie narażając się na wymówki żony. Środek ten istotnie uczyni Pana niewidzialnym, tym niemniej żona Pana poznać go może po zapachu alkoholu, którego uniknąć niepodobna. Przepis podajemy choć prawdę mówiąc wątpimy nieco w jego skuteczność.

Król Salomon mówi: „Trzeba ukraść czarnego kota, kupić nowy kamienny garnek, nowy wóz, kamień agatowy, nowe lustro, wziąć węgli i zapalaczy. Do tego trzeba przynieść wody w chwili gdy zegar bije północ i to z wodotrysku lub ze źródła. Potem zapala się ogień, kładzie kota do garnka, kładzie nań lewą rękę, nie obracając się, ani nie wydając z siebie głosu, choćby nie wiem co poza nami się działo.

Gdy się tak kota przez 24 godziny gotowało, trzeba go włożyć do miski. Tu trzeba obrać wszystko mięso i rzucać w tył przez lewe ramię, mówiąc następujące słowa: „Accipe quod tibi do, et nidil amplius". Potem trzeba wziąć wszystkie kości jedna po drugiej w zęby po lewej stronie, przy czym trzeba wciąż patrzeć w lustro i jeden gnat po drugim przez lewe ramię rzucać poza siebie, także przy każdym gnacie powyższe słowa wymawiać.

Jeden gnatek z tego jest właściwy i skoro w lustrze gnatek ten zabłyszczy jak metal i zaraz się znów ściemni, że nie można się już w lustrze zobaczyć, trzeba się oddalić idąc wstecz i mówiąc po trzykroć następne słowa: „Pater in manus commen do spiritum meum".

Skoro się ów gnatek właściwy weźmie w zęby, staje się za każdym razem niewidzialnym dla innych i tak długo, dopóki się ów gnatek w zębach trzyma".

CHWILA POEZJI

Nasz Czytelnik Stanisław K. nadesłał nam okolicznościowy wiersz z prośbą o wydrukowanie. Życzenie naszego Czytelnika nie bez satysfakcji niniejszym spełniamy.

JESIENNY DZWON

Bura jesień burak niesie
Do cukrowni. A po lesie
Echo dzwoni.

Płynie cukier białą rzeką,
Tak jak z krowich wymion mleko —
W kubeł dzwoni.

Orze, orze wieśniak w borze.
Żyto w spichrzu, chleb w komorze
Sierp nie dzwoni.

Chcą już drzemać wsie i sioła
Lecz kartofel z ziemi woła
Trwożnie dzwoni...

mógłbym długo wierszem dzwonić lecz przed chwilą zadzwonił do mnie sekretarz redakcji, abym szybciej kończył te bzdury, bo czas już oddać kolumnę.

KRAM Z PROZĄ

Emerytka kulturalna prosi nas o przypomnienie wielkich kart historii literatury Polski. Prosimy bardzo. Oto fragment powieści „Stara linia" słynnego Dejota.

„Zagrzmiało. Ówdzie wiatr wył głucho. Książę Konrad ponuro spozierał w ogień na kominku. Jęknęły odrzwia. Weszła księżna w złotogłowiu i westchnęła.

Knują — spytała.

Knują. I tępią. Ale się nie damy — rzekł tak mocno, że aż ogień przygasł. Podrzucił głownię i ciągnął: oni mocni, ale i nas kupa. Za mną jest całe Prawo i papież Julian. Za mną jest Józef-Henryk i pomniejsi. Kupa nas okrutna.

Księżna słuchała wierutnie, a on wzrok swój orli zawiesiwszy gdzieś w przyszłości wieścił:

Dufni oni, ale nie widzą, że idzie nowe. Trza uderzyć w czynów stal.

Tak powiedział, choć tego nie wymyślił. Jak zwykle zresztą.

Mijały minuty, zajmując miejsce na papierze, a czytelnika nie nużąc.

Wszedł stary sługa z przyklękiem. Łosiowe na nim skórznie, a wzrok w gotycką podłogę wbity.

Źle jest — powiedział i głowę na cios nadstawił, bo krewki jest książę — źle jest, nowe nie chce iść.

Porwał się Konrad. — Z której strony?

Z tej strony.

Konie każ kulbaczyć. W deszcz pojedziem, w wichurę. Nas diabli nie wezmą... My im pokażemy.

I pojechali, a księżna po zamku się szwenda".

Koniec fragmentu.

Z piosenką jest nam wesoło

Szerokie rzesze Czytelników skarżą się w listach do nas: „Teksty polskich piosenek są za trudne. Nie jesteśmy w stanie pojąć ich przewrotnej, intelektualnej głębi. Bez zrozumienia treści nie ma mowy o dobrym wykonaniu. Pomóżcie."

Z pełnym zrozumieniem dla Festiwalu Piosenki — pomagamy. Oto wyjaśnienie treści piosenki „Dla ciebie miły".

We włosach kliwii kwiat
Dla ciebie miły

kliwia — bylina z rodziny amarylkowatych, kwiaty zebrane w baldachy.

Kolczyków ciepły blask
Dla ciebie miły
Pudruję nosek i
Węgielkiem czernię brwi

ciepły blask i węgielek służą wywołaniu ciepłej atmosfery w piosence oraz chronią słuchacza przed dreszczami grozy (o grozie za chwilę).

Szal cienki jakby z mgły
Dla ciebie miły
Korali sznurki trzy
Dla ciebie miły

wszystko, absolutnie wszystko dla miłego.

Dobrze, że siostry mi pożyczyły
Pierścionek miota skry
I jak prawdziwy lśni

sztuczny pierścionek i pożyczone korale każą się domyślać że bohaterka piosenki jest niezamożną sierotką i jako taka wymaga litości.

Lusterko powiedz czy nieładnie mi?

Pytanie retoryczne, odpowiedź przyjdzie później.

Choć jeden raz żebym była tak piękna
Dziś właśnie dziś
Bo wieczorem na bal
Z tamtą drugą masz przyjść.

Zawiązuje się akcja dramatyczna. Zaraz zobaczymy, dlaczego bohaterka chce być właśnie dziś tak piękna.

Spostrzegasz mnie
Nagle serce ci pęka

perfidna sadystka wybrała dość dziwny sposób zabicia niewiernego (pęknięcie serca wskutek olśnienia). W naiwności swojej zapomniała, że miły po pęknięciu serca raczej nie będzie się nadawał do użytku. Lepiej chyba zabić tę drugą.

Ta scena mi
Każdej nocy się śni
Od wieczora po świt

to już szczyt grozy. Ona o tym śni przed śniadaniem. Widzicie jaki potrzebny był węgielek?

Piosenkę śpiewa się jeszcze raz od początku aż do „korali sznurki trzy", a dalej:

Jak mi w nich ładnie
Że dziś płakałam nikt nie odgadnie

bardzo ważny fragment — skoro płakała, nie jest taka najgorsza.

Przyjdź ukochany, przyjdź
Ubawisz ty się dziś.

ukochany (miły) ubawi się głównie pęknięciem serca.

Lusterko mówi mi
Że mogę iść

to jest odpowiedź na retoryczne pytanie z pierwszej części piosenki.

To już wszystko. Śpiewajcie. Kariera Violetty Villas nie jest niepowtarzalna. Z każdego może się pośmiać cała Polska. Powodzenia!

mały SŁOWNIK POKEROWY

Na usilne prośby grupy naszych Czytelników zamieszczamy krótki i przystępny słownik popularnych wyrażeń pokerowych wraz z wyczerpującym wyjaśnieniem tychże.

A — *Aaa!* okrzyk jaki wydaje się w zależności od okoliczności. I. Boleśnie — przy spotkaniu z wyższą kartą. II. Zwycięsko — po zagarnięciu puli.

B — *Bezparze.* — mianem tym określa się karty spośród których nie można zebrać dwóch jednakowych. — Bluff — mylące zagranie pozostające w bezpośrednim związku z poprzednim hasłem.

F — *Filunek (filować, filowanie)* — rytualne oglądanie kart. Filować można a) silnie, b) z natężeniem, c) ze skutkiem. — *Fool* (czytaj *full*) — kombinacja kart: trójka i para.

K — *Kareta* — wbrew nazwie wcale nie pojazd ceremonialny. *Kolor* — pięć kart w jednym kolorze. *Krwawo spłynąć* — przegrać ostatnie pieniądze przeznaczone na zakup środków spożywczych dla najbliższej rodziny.

L — *Lec* — polec, paść. Jak wyżej można z honorem, można i krwawo.

Cytatolog — gracz, który miast portmonetki używa znanych dzieł klasyków.

Cytat — kwota, którą przechowuje między kartkami książki, w zależności od wysokości kwoty może być dłuższy albo krótszy.

Zacytować — przebić wysoko...

Ciąg dalszy za tydzień

P.S. Zdając sobie sprawę, że słownik ten nie jest kompletny, co tłumaczyć należy krótkim stosunkowo stażem pokerowym autora—zwracamy się do wszystkich tych, którzy o słownik ten prosili o nadsyłanie sprostowań względnie nowych wyrażeń na adres redakcji.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. [illegible].X. L-4

FRASZKA TYGODNIA za TYDZIEŃ

TELEwizja

Niewinna fantazja pana Robida,

albo kartka z dziejów TV

W czasach kiedy nie znano jeszcze gazetowej chemigrafii, kiedy dzięki temu ilustracje w gazetach były wyraźne i nieźle pod względem artystycznym działał we Francji jeden z licznych ilustratorów nazwiskiem Albert Robida. Dziś może byłaby to postać zapomniana, gdyby nie dar fantazji. Robida bowiem 75 lat temu zajmował się dość szczegółowo sprawami telewizji. W jednym ze swych albumów pt. (XX siècle" poświęconym wiekowi dwudziestemu Robida pisze: „Wynalazek ten pozwoli zobaczyć i usłyszeć co się dzieje na świecie. Każdy ma w swym domu specjalny telefon, który podłączony być może do aparatury zwanej telefonoscopem. Dzięki temu może, nie wychodząc z domu oglądać spektakl teatralny czy operowy".

W swych rysunkowych fantazjach Robida stworzył np. obraz prowadzenia transmisji telewizyjnej do złudzenia przypominający jej dzisiejszy przebieg. Oto na wysokim pomoście stoją prostokątne pudła z wysuniętymi do przodu rurami obiektywów. W fantazjach słownych przewidywał, że w roku 1945 powstanie Towarzystwo Telescopowo-teatralne, a każdy spektakl przygotowany na scenach tego Towarzystwa tylko 4 tysiące widzów będą oglądały na widowniach, zaś ponad 30 tysięcy w domach na kryształowych ekranach. Bo Robida wyobrażał sobie ekran telewizji jako płytę kryształową wmurowaną w ścianę i połączoną z telefonoscopem. Ten ostatni aparacik pozwalał na wybieranie przy pomocy zwykłej tarczy numerowej (która też była sprawą przyszłości) lub centrali, odpowiedniego teatru, czy kabaretu skąd nadawany jest program. I znów fantazja dyktowała rysownikowi rozmiary obrazu odbieranego w domu: był on naturalnych rozmiarów, zajmował całą niemal jedną ścianę mieszkania. Dziś to wszystko zostało zrealizowane, bądź nie przedstawia większych trudności. Nawet sprawa rzutowania obrazu telewizyjnego na wielkie ekrany została technicznie opanowana. A mimo to współczesna technika nie doścignęła jeszcze francuskiego rysownika.

Przepowiedział on mianowicie, że w księgarniach będzie można nabywać tzw. „kl'sze telefonoscopowe", czyli innymi słowy nagrania audycji telewizyjnych przeznaczone do odtwarzania w domu jak np. płyty gramofonowe czy taśmy magnetofonowe. Pod względem utrwalania obrazu mamy kłopoty nawet na szczeblu stacji nadawczych. Ale kto wie, może za parę lat rzecz zostanie opanowana? Gorzej natomiast jest z propozycja wykorzystania przerw w spektaklach telefonoscopowych. Robida proponuje w tym czas'e dokonywanie dowolnego przeglądu foyer, a nawet przeprowadzanie z własnego domu rozmów ze znajomymi znajdującymi się w teatrze.

No bo proszę sobie wyobrazić, że nagle siedząc sobie w domu widzisz na ekranie dyrektora Pańskiego czy Orłowskiego i możesz mu powiedzieć co myśl'sz o tej czy innej audycji, albo co gorsze o TV w ogóle? I co się dzieje? Skandal w eterze!

Gdy kamery zostały włączone

PRÓBA jest chaosem, z którego wyłania się ład. W pierwszej fazie, jeszcze bez kosztownego udziału kamer, szkicuje się sytuacje, przegląda materiał, zaznacza pierwsze rozwiązania.

Andrzej Saciuk — młody, ale już poważne mający za sobą sukcesy śpiewak Opery Łódzkiej — stoi oparty o fortepian; przy instrumencie Edward Przyłecki.

— Kamera będzie stała blisko, ciągłe zbliżenie na twarz, ujęcie chyba trzy-czwarte, zresztą jeszcze sprawdzimy. Teraz, kiedy pan kończy, proszę przenieść wzrok na akompaniatora, za pana spojrzeniem pobiegnie również kamera. Przypuśćmy, że ja jestem kamerą — Kazimierz Oracz, reżyser audycji, wyciąga dwie dłonie przed siebie i łagodnym ruchem przesuwa je na lewo — proszę spróbować, jak to panu wyjdzie...

...A potem to samo, ale już z kamerami. Ekrany kontrolne sprawdzają ujęcia. Jedne przyjmują się natychmiast, innych trzeba szukać długo, zmieniać plany, korygować rozstawienie kamer. Najtrudniej jest oczywiście z tańcem, bo to przecież — ruch.

MÓWI KAZIMIERZ ORACZ

— Przede wszystkim chciałbym wyrazić radość, że Wasze pismo podjęło temat z „kuchni telewizyjnej", temat ponieważ teoretyczny. Poszukiwań rozwiązań telewizyjnych dla takich form jak taniec, jest na całym świecie mnóstwo, nikt

chyba jednak nie wie dokładnie, jak to trzeba robić, nikt nie potrafi sprecyzować przekonywujących założeń teoretycznych. Jeden z poważnych krytyków angielskich twierdząc nie bez racji, iż balet tradycyjny, balet rodem z desek scenicznych, wychodzi w telewizji zubożony, powiedział wręcz: telewizja czeka na swój balet.

Kto ma go zrobić? Zapewne, ktoś o bogatej wyobraźni, obznajmiony zarówno z choreografią, jak i z techniką telewizyjną. Ale że ten ktoś jeszcze nie dał o sobie znaku głośnymi spektaklami, więc też wszyscy musimy szukać i wszyscy szukamy. Stąd dyskusje w rodzaju Waszej dyskusji są diabło pożyteczne — inspirują nas, realizatorów, zbliżają publiczność do poznania warsztatu telewizyjnego.

Jeżeli chodzi o konkretny koncert, ten który zrealizujemy we wtorek 24-ego, będziemy tu mieli do czynienia z adaptacją telewizyjną konkretnych układów. Już nie z przeniesieniem czegoś ze sceny, ale jeszcze nie z „baletem telewizyjnym", opracowanym w ścisłym powiązaniu z pracą kamer, z bardzo wczesnym zaznaczeniem, jaka partia, jak i z jakiego miejsca będzie przez kamerę ujmowana.

Moim obowiązkiem będzie więc tutaj możliwie najwierniejsze przekazanie myśli choreografa; ponieważ — jak już pan pisał — poprowadził on ruch jak by po przekątnej, więc powinna sobie z nim dobrze dawać radę jedna prowadząca kamera. Uniknę nadmiaru cięć, „szatkowania", tańca, a jednocześnie będę miał tancerzy i w zbliżeniach i w planach pełnych. Zarazem pamiętając, że telewizja jest jednak czarno-biała, musimy światłami, scenografią — tu bardzo spokojną, poprowadzoną w planach — pomóc tancerzom, wyraziście ich zarysować, nie „rozmazać" sylwetek w nadmiarze elementów dekoracyjnych.

Wreszcie chodzi o nastrój. Po śpiewanej przez Andrzeja Saciuka arii, w której — powiedzmy to żartobliwie — „narzeka" on na kobiety, przeskoczymy w etiudę Skriabina, nerwową, trochę „szarpaną", pełną niepokoju. Jeżeli damy tu ostre, wywołujące cienie światła — klimat będzie chyba utrzymany. Podobnie po „Perskiej pieśni miłosnej" Rubinsteina — dajemy duet o wyraźnym zabarwieniu lirycznym; znów próba konsekwentnego prowadzenia nastroju.

Tyle p. Kazimierz Oracz. Teraz — jeżeli sprawa czytelników zainteresowała — czekamy na wasze głosy; gotowi jesteśmy je drukować, jak również pewne sprawy dodatkowe wyjaśniać.

J. PANASEWICZ

P.S. Jak już Czytelnicy się zorientowali — rozmowa powyższa miała miejsce przed nadaniem koncertu i rzecz prosta przed wydrukowaniem niniejszego numeru „Odgłosów".

Kwitujemy ODBIÓR

„Niobe"

Poemat K. I. Gałczyńskiego na małym ekranie. Śpiewający i muzyczny, pełen językowych piękności. W realizacji: dymy i czarna kawa i chór grecki i — doskonały zresztą — Leszek Herdegen w swetrze, bardzo współczesny, dla kontrastu współczesny i dla kontrastu w swetrze.

Robota inscenizacyjna LIDII ZAMKOW-SŁOMCZYŃSKIEJ i MACIEJA SŁOMCZYŃSKIEGO niewątpliwie interesująca, fascynująca niekiedy, choć w bogactwie ruchu, kompozycji plastycznych, zagubiająca raz i drugi tekst.

Warto by jednak tę inscenizację powtórzyć, może wówczas łatwiej będzie można rozszyfrować dość złożony rysunek inscenizacyjny i z czystym sercem wyważyć pochwały i zarzuty.

„Dobranoc tato"

W środę ubiegłego tygodnia oglądaliśmy „Dobranoc, tato" — dialogi nieco filozoficzne, pierwszy odcinek powieści Saroyana. Ma być tych odcinków — jeżeli się nie mylimy — pięć i zdaje się już teraz można powiedzieć zupełnie spokojnie, że kto obejrzał pierwszy obejrzy i następne.

Znakomite.

Znakomita robota aktorska ANDRZEJA ŁAPICKIEGO, znakomity jego nieletni partner, znakomita realizacja i znakomity pomysł. A jednak formy kameralne, przy precyzyjnym opracowaniu, są niesłychanie wizyjne, atrakcyjne i nośne. To ważne sprawdzenie — często boimy się, że dwoje ludzi rozmawiających na ekranie musi przynieść ze sobą nudę. Nie musi.

Piękne dziewczęta na ekrany telewizyjne

Mogły nasze macierzyste „Odgłosy" urządzić konkurs na fraszkę. Mógł Wicherek, możemy i my. Chodzi o fraszkę, czy powiedzmy — wierszowany żart, na temat spikerów telewizyjnych, bądź naszego hasła „Piękne dziewczęta na małe ekrany". Czekamy. Najlepsze wydrukujemy i zapłacimy według oficjalnych stawek.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 26 BM.

10.00 — Program dla szkół: język polski — „Historia książki", z cyklu „Otwarta książka" (Kraków). 10.30—16.50 — Przerwa. 16.50 — Program dnia (Ł. lok.). 16.55 — „Kobieta XX wieku" — progr. z cyklu: „O wsi dla wszystkich" (W). 17.25 — „Wspomnienia o gwiazdach" — progr. film. oprac. Stefanii Boylin i Hanny Goszczyńskiej (W). 17.55 — Program publicystyczny (W). 18.25 — „Sonaty Beethovena" — program I w wykonaniu Bolesława Woytowicza (Katowice). 19.00 — „Pulawy proszą o głos" — program z cyklu „Fakty i poglądy" w opracowaniu Tadeusza Kolińskiego (W). 19.20 — Dziennik telewizyjny (W). 20.05 — „Tiger Rag i inni" — program rozrywkowy (Ł. lok.). 20.25 — „Winda na szafot" — film fab. prod. francuskiej dozw. od lat 18 (Ł). 22.00 — Sprawozdanie filmowe z obrad XXII Zjazdu KPZR (Moskwa).

PIĄTEK, 27 BM.

17.05 — Program dnia (Ł. lok.). 17.10 — „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 17.40 — Młodzieżowy program publicystyczny „Samotni zakochani" (W). 18.25 — Film z serii: „Przygody dziwnego psa Huckleberry" prod. USA (W). 18.55 — Antykwariat Wszechnicy TV (W). 19.50 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Krąg" — film fab. prod. CSRS dozwolony od 16 lat (W). 21.16 „Do rodziców i wychowawców" (W). 21.45 — Ostatnie wiadomości (W). 22.00 — Sprawozdanie filmowe z obrad XXII Zjazdu KPZR (Moskwa).

SOBOTA, 28 BM.

11.00 — Program dla szkół: geografia „Z wizytą w ZSRR" — z cyklu „Krajobrazy i ludzie świata" (W). 11.30—17.15 — Przerwa. 17.15 — Program dnia (Ł. lok.). 17.20 — Program dla dzieci: „A co dalej?" — o książkach dla najmłodszych (W). 17.35 — Teatrzyk w koszu „Gdzie jest Guignol" (W). 18.20 — „Paragraf i fajka" przed kamerą prof. dr Jerzy Sawicki (W). 18.35 — Program tygodnia (W). 18.50 — Program tygodnia (Ł. lok.). 19.00 — Rozmowa z pisarzem (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Człowiek w przestworzach" — film fab. prod. angielskiej dozw. od lat 12 (Ł). 21.45 — Ostatnie wiadomości (W). 22.00 — Sprawozdanie filmowe z obrad XXII Zjazdu KPZR (Moskwa). 22.40 — Program estradowy (W).

Nareszcie jakieś echo

Trzeba było ostrej prowokacji, by uzyskać jakieś echo z ulicy Sienkiewicza. Z tym echem w postaci artykułu redaktora naczelnego Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — mgr Władysława Orłowskiego zapoznali się nasi czytelnicy w poprzednim numerze „Odgłosów".

Oczywiście, trudno polemizować na tematy szczegółowe w odstępach tygodniowych. Niemniej redaktorowi Orłowskiemu należy wyjaśnić sprawę „tajemnicy" audycji „Spojrzenia i opinie".

Koncepcja tej audycji narodziła się w wyniku konkursu, nielicznie zresztą „obesłanego" projektami przez dziennikarzy, ponieważ konkurs nie był dostatecznie zareklamowany w środowisku łódzkim. O ile wiemy, jury nagrodziło dwa projekty. Przyznano nagrodę pierwszą i drugą. Należało się spodziewać, iż taka punktacja równoznaczna jest z zakwalifikowaniem do realizacji projektu który otrzymał nagrodę pierwszą. Tak się nie stało. Ale przyjmijmy, że organizator konkursu ma prawo wyboru koncepcji bardziej mu odpowiadającej i wybiera projekt drugi. Nie obchodziłyby nas te wewnętrzne niuanse, gdyby nie to, że komuś zrobiono krzywdę moralną i że wreszcie kazano tysiącom telewidzów oglądać kilka numerów superchały. To właśnie jest ta tajemnica, o której nie wiedział autor artykułu pt. „X — liczba niewiadoma". Tajemnica drugiej nagrody.

Zajęty wiwisekcją osoby autora artykułu „Odgłosów" pt. „...za obrazę sądu", oceną wartości jego dowcipów, Władysław Orłowski zapomniał odpowiedzieć na jeden, dość chyba istotny zarzut w sprawie niewykorzystania w łódzkim programie laureatów konkursu na sprawozdawców radia i telewizji. Dość długo zwlekano z zatrudnieniem tych utalentowanych ludzi, a przecież wkrótce po naszym artykule jeden z nich poproszony został do TV i otrzymał tam propozycję współpracy z której skorzystał. Nie przeceniamy bynajmniej swojej zasługi w tej mierze. Żałujemy jedynie, że telewizja nie skorzystała z okazji, by poinformować o tym miłym fakcie opinię publiczną.

A poza tym wszystkim, naprawdę bardzo się cieszymy, że przedstawiciele telewizji podejmują z nami polemikę. Spodziewamy się, że dzięki temu w sprawach telewizji zapanuje większa jasność. Tłumaczenia dyr. Pańskiego już nam nie wystarczają. (X).

ZBIGNIEW NIENACKI

Worek Judaszów

Majorowa oderwała się od ramienia Alberta. Puściła adapter.

— Zatańczymy? — zwróciła się do Krychniaka.

Tańczył śmiesznie podrygując i kręcąc kuprem. Był mały i nosem trącał biust majorowej. Podniecało go to, jego oczy traciły czerwień, odzyskując dawną niebieskawą barwę i naiwne spojrzenie poczciwego, spoconego grubasa.

Albert zbliżył się do „Maskotki". Jej brzydka, zwiędła cera poznaczona jakby liszajami egzemy, wydała mu się odrażająca.

— Pani lubi prowadzić niebezpieczne zabawy — powiedział nonszalancko całując upierścienioną rękę „Maskotki". Wyobrażał sobie, że w ten sposób zaczynając rozmowę, wszedł w styl małomiasteczkowego don Juana.

— Czy mówi pan po angielsku? — angielszczyzna „Maskotki" była bez zarzutu.

— O tak... — odparł po pewnym wahaniu. Strofował się w duchu: „Jestem za mało tajemniczy, zbyt mało liczę się z prymitywną wyobraźnią tych ludzi".

— Spędziłam w Anglii całą wojnę. Wróciłam z odrobiną grosza, założyłam zakład krawiecki. A pan?

— Historyk.

— Nauczyciel?

Kiwnął głową.

— Tak. Szukam pracy. Mogę udzielać lekcji angielskiego.

— Szczególnie ładnym kobietom, prawda?

— Mówiłem poważnie.

— Pan był w Anglii?

— Tak.

— W Londynie?

— W Mortakle.

W drzwiach hallu zobaczył już ubraną w płaszcz Ramuzównę. Przeprosił „Maskotkę" i nie żegnając się z nikim pośpieszył do przedpokoju. Po chwili wyszli na ulicę. Wziął dziewczynę pod rękę, narzucił szybki krok, bał się bowiem, że nie zdąży na spotkanie z Mikołajem. Nie miał mu nic ważnego do zakomunikowania, chciał jednak zobaczyć twarz przyjaciela, usłyszeć jego głos, przyjazny i serdeczny, jedyny, któremu mógł naprawdę zaufać.

— A jednak wróciłem z Dąbrowy. I pojutrze odwiedzę pani ojca.

— Kurtman nie wrócił. Przeczuwałam to. Przeczuwałam już w chwili gdy odprowadzałam go do auta.

— Kochała go pani?

— Nie... Tak, tak — poprawiła szybko. — Rok z nim, jak się to u nas mówi „chodziłam". Uważano go za mojego narzeczonego. W gruncie rzeczy był mi obojętny aż do chwili gdy postanowił iść do lasu. Sprzeciwiałam się temu, ale właśnie ta decyzja jakoś podnosiła go w moich oczach. Jestem trochę sentymentalna. Tęskniłam za nim, bałam się o niego. To przywiązuje kobietę do mężczyzny. Czy pański znajomy nie opowiadał szczegółów śmierci Kurtmana?

— Pani jeszcze kogoś odprowadzała do Dąbrowy.

— To był kolega z czasów szkolnych. Podkochiwał się we mnie, nie wiedziałam o tym. Kiedy szedł do lasu, nagle zdobył się na śmiałość, wyznał mi miłość. Zdziwiłam się, nigdy o nim nie myślałam. Zginął. Dokuczałam Kurtmanowi, często opowiadałam o tamtym, o tym jak mnie żegnał, jak wyznał mi miłość. Może nawet dlatego Kurtman również zdecydował się iść do Rokity? Jeśli tak, to właśnie ja odpowiadam za śmierć Kurtmana.

Zaczęła popłakiwać. Chlipała nosem jak dziecko.

— Wykazała pani bardzo dużo okrucieństwa — burknął. — U ojca w gabinecie wisi Grottger, na półeczce za firaneczką „Wierna rzeka". Mężczyzna który nie chce dać się zabić wydaje się pani mało romantyczny. Wypędziła go pani do lasu. Kurtman jednak zginął nie przez panią. Upozorowano ucieczkę z więzienia, miał być konfidentem. Znalazł się zdrajca, doniósł Rokicie. Zastrzelili Kurtmana, gdy tylko zjawił się w swym dawnym oddziale leśnym. Widziałem go w trzy dni później. Leżał na ścieżce leśnej, miał podkurczone nogi, żarły go mrówki.

— Pan kłamie! Pan kłamie! — krzyknęła histerycznie.

Cofnął się o dwa kroki. Zląkł się, że z paznokciami doskoczy mu do oczu.

Wzruszył ramionami. Nasunął kapelusz na czoło, potem wsadził ręce do kieszeni płaszcza. Ogarnęło go uczucie niesmaku. „Powiedziałem, bo zdenerwowała mnie jej głupota" — usprawiedliwiał się przed sobą.

— Kłamstwo... kłamstwo... — powtarzała coraz ciszej.

Stali naprzeciw siebie w wąskiej uliczce obstawionej walącymi się ruderami. Okiennice były zamknięte, domy sprawiały wrażenie wymarłych.

— Nie rozumiem pani. Chciała się pani oddać Krychniakowi, żeby wyzwolić Kurtmana. Okropna zaś wydaje się pani myśl, że on za cenę życia zdecydował się wydać swoich kolegów?

— Ja chciałam sprzedać tylko siebie. A on... innych. To różnica — zawołała piskliwie. Żal ustąpił miejsca nienawiści.

— A więc jednak wierzy mi pani?

— Wierzę. Prawa wygląda zawsze, jak najgorsze kłamstwo. On poszedł do Rokity bo chciał mi się przypodobać. Dlatego i zdradził go od razu. Nienawidzę nawet pamięci o nim. I pana także nienawidzę. Jesteście bandą łotrów!

Odwróciła się i pobiegła ulicą. Jej wysokie obcasy postukiwały na krzywych płytach chodnika.

Albert odczekał dopóki nie zniknęła za rogiem poprzecznej ulicy. Potem ruszył na most.

* * *

— Już trzeci raz przejeżdżam tędy — stwierdził Mikołaj. — Byłeś zajęty w klasztorze?

— Tak?

— Czy zdarzyło się coś ciekawego?

— Nie.

— Co z „kryształową tarczą"?

— Daj spokój. Przecież nie wierzysz w tę bzdurę..

Mikołaj nie odezwał się więcej, urażony opryskliwością Alberta. Palili papierosy, w milczeniu spoglądając na opalizujący czerwono licznik w samochodzie.

— Byłem u profesora Ramuza, zwiedziłem klasztor od góry do najtajniejszych podziemi. Wiem wszystko — powiedział Albert. — Ale mimo to nie posunąłem się ani na krok naprzód. „Kryształowa tarcza" jest wciąż nieosiągalna. Zupełnie nie wiem, jak rozpocząć tę sprawę. Drepcę w tym samym miejscu.

— Po co zjawiłeś się na spotkanie ze mną?

— Po prostu chciałem zobaczyć twoją gębę. Sam sobie stałem się zupełnie obcy. Sam wśród wrogów. Nie rozumiesz tego?

Znowu nastała zgoda. Mikołaj zaczął się chwalić:

— Wpadłem na trop kapitalnej historii. Jutro w południe będę wszystko wiedział. Złapałem kontakty, znam szyfry i kryptonimy. Co się stanie, jeśli to ja, a nie ty, załatwię „kryształową" hecę. Dziś rano odwiedziłem PUBP. Byłem u szefa Jarugi.

— Oszalałeś?!!! — krzyknął Albert.

— Byłem ostrożny. Szefa nie zastałem, — Zaprowadzono mnie do jego zastępcy.

— Taki grubas? Krychniak się nazywa.

— Znasz go?

— Trochę...

— Ostrzegłem go. I ciebie też ostrzegam. Na jutro wieczór coś się szykuje. Jeszcze nie wiem co, jutro w południe będę miał dokładne informacje.

— Uważaj. Wkopiesz mnie, siebie, zepsujesz całą robotę.

Mikołaj obraził się.

— Tobie się zdaje, że ty największe rozumy pozjadałeś. Kąpiesz się trzy razy na dzień, za mieszkanie płacisz dolarami, oto nowy styl twojej pracy.

— Skąd wiesz?

— Tutejsze paniusie opowiadały sobie na ucho. Pani doktorowa pani mecenasowej, pani mecenasowa pani aptekarzowej i tak dalej. I tak dalej. „Ach jaki przystojny ten Anglik, jaki elegancki". Nawet w kawiarni byłeś. Czy podobnie postępowałeś w klasztorze? — ironizował.

— Dlaczego zaraz „Anglik"? Dolary? Każdy spekulant płaci dolarami.

— Kąpiesz się. Lubisz wannę. „Musi być nie Polak, że taki czyścioch".

— Kto ci o tym opowiadał?

— Przyjaciółka majorowej. Krawcowa. Ma zakład w rynku.

— Kim jest naprawdę?

— Krawcową. Krawcową z półświatka. Trochę kibicuje wszystkiemu, co pachnie niebezpieczeństwem. Kibicuje Rokicie, kibicuje Jarudze. Jaruga chce wiedzieć, gdzie mu się zawieruszył któryś z funkcjonariuszy, ona się dowiaduje kiedy, i gdzie go rozwalili. Jedni i drudzy o niej wiedzą. Obydwu stronom jest wygodna.

— Rozumiem — chrząknął Albert.

— Co rozumiesz?

— Nic. Mów dalej.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Mówił jednak. Albert słuchał piąte przez dziesiąte. Wreszcie zmorzył go sen.

Mikołaj szturchnął go w bok. Albert z trudnością otworzył oczy.

— Mam dwie ampułki kofeiny. Chcesz? — zaproponował Mikołaj.

Albert wyciągnął rękę. Mikołaj zapalił światło w aucie, ze schowka obok zegarów wyjął ampułki, utrącił ich szklane główki. Albert wylał kofeinę na język, połknął. Wydała mu się strasznie gorzko.

— Jesteś zmęczony, zielony jak żaba — litował się Mikołaj.

Poprowadził wóz aż do pierwszej uliczki miasteczka.

* * *

Po przekątnej pustego rynku biegł chudy wilczur. Sierść mu się zjeżyła, podkulił ogon, z pyska ciekła piana. Sadził przed siebie na oślep, przeskakując krąg światła rozlanego na bruku, ginął w mroku i pojawiał się znowu — wściekły, straszny. Albert wyszarpnął pistolet z kabury, oczekując napaści. Był sam jeden na rynku wśród ciemnych domów. Stanął za cienką łodygą latarni. Wilczur minął go, pomknął w boczną uliczkę, przepadł w ciemnościach.

Podobny do tego pies jawił się niekiedy Albertowi w męczących snach. Zazwyczaj następnego dnia miał Albert jakieś przykrości. „Może zrezygnować" — pomyślał.

...Dochodziła trzecia po północy. Staroświecka lampa na łańcuszku pozwalała bez trudu odczytać niedużą mosiężną tabliczkę:

„ZAKŁAD KRAWIECKI" — Francoise Ligęza".

Drzwi i okna zakładu chroniły karbowane żaluzje. W szparach żaluzji prawego okna przebłyskiwało światło — pani Ligęza chyba powróciła już od majorowej. „Jest w domu sama czy też z architektem? — zastanawiał się Albert. — A może to nie jej okna?"

Do domu przylegał ogródek i podwórko z głębokim rynsztokiem. Furtka do ogrodka była zamknięta. Albert brnął w mroku, prawą ręką dotykając brudnych ścian domu. Dwa razy wpadł nogą w nieczystości rynsztoka, potem potknął się o kamień i uderzył w kolano. Znalazł drzwi do sieni, otworzył je — jęknęły zwierzęco, jakby torturowane. Zapalił zapałkę, ujrzał wąski korytarzyk zapakowany beczkami. Zionęło zapachem zgniłej kapusty.

I znowu mosiężna tabliczka. Tym razem zupełnie malutka. Tylko dwa słowa: „Zakład krawiecki".

Zapukał.

Cisza...

Zapukał mocniej... Zastukały obcasy damskich pantofelków. Zachrobotał zamek. Buchnęło światło.

— No, tego się po panu nie spodziewałam...

Nie speszyła się, że widzi ją prawie nagą. Wprowadziła go do pokoju, zatrzasnęła drzwi. Odwróciła się do niego plecami i dopiero teraz narzucała na siebie szlafroczek. Piersi miała malutkie, jak dziewczynka, na wypukłych pośladkach lśniły jedwabne figi. Nad pośladkami zaznaczały się dwa dołeczki, jak u dziewczyny, która jeszcze nie rodziła. I ta brzydka twarz zjedzona przez egzemę.

d. c. n.

CAŁY ŚWIAT GRA KOMEDIĘ

Dalszy ciąg ze str. 7

ciwko sobie samemu w imię piastowanego w sobie ideału. Udawanie i obłuda, ta gra przed samym sobą i przed innymi, to właśnie dowód tego buntu przeciwko sobie samemu, takiemu jakim się jest doraźnie, w imię takiego, jakim

się chce być. To udawanie, ta obłuda, kiedy przechodzą w nałóg, w narów człowieka, stają się przekształcającymi czynnikami jego pierwotnej natury, przemieniają się w stałe cechy jego charakteru, wchodzą jako trwałe elementy w skład jego osobistej kultury. Bowiem, gdyby małpa w ciągu całego swego życia zdołała doskonale i bez przerwy w sposób ciągły naśladować we wszystkim człowieka, stałaby się w końcu człowiekiem. Bo czymże by się ostatecznie różniła od człowieka? Podobnie człowiek stosujący stale obłudę i udawanie w tym celu, aby się wydać kimś innym, niż jest — staje się wreszcie siłą nabytego przyzwyczajenia rzeczywiście kimś innym. Przyzwyczajenie bowiem zwykło się przemieniać w tak zwaną drugą naszą naturę, która powoli, ale skutecznie wypiera pierwszą i przekształca całą naszą istotę na swoją MODŁĘ, to znaczy mniej więcej na obraz i podobieństwo naszego marzenia o sobie samych.

Są siły, które udawanie i obłudę uważają za podstawowe elementy kultury ludzkiej. Wyobraźmy sobie, co by to było, gdyby dać zwieść się pozorom. Ludzkość byłaby mocno zagrożona gdyż wiadomo jak wiele jeszcze instynktów jaskiniowych drzemie w człowieku, który tłumi je w sobie i trzyma na uwięzi tylko dzięki temu, że gra komedię człowieka cywilizowanego. Oczywiście myślę tutaj o tej czę-

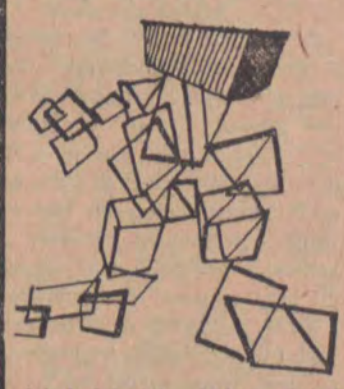

ści ludzkości, która dotąd jeszcze znajduje się poza wszelkimi ramami świadomie kształtowanej cywilizacji, opartej na humanistycznej idei postępu, którego ostatecznym celem jest powszechny pokój i społeczeństwo bezklasowe.

MARIAN PIECHAŁ

ODGŁOSY tygodnia

Małoduszni

W dość paradoksalnej sytuacji znalazło się ostatnio łódzkie PPIE „Estrada"; jego kierownictwo musi siedzieć z założonymi rękami, żeby nic siedzieć.

Rzecz jaw: się następująco: „Estrada" obok posiadania własnych zespołów artystycznych, z którymi dociera w tzw. teren i do których, rzecz jasna, dopłaca — prowadzi również działalność agencyjną, usługową, na której z kolei stara się zarobić. Szczególnie dochodowymi są na przykład wszelkie imprezy reklamowe, zlecone przez jakiś „Dom Mody" PSS czy inną instytucję — „Estrada" kalkuluje koszty i dolicza sobie zrozumiały narzut za usługę.

Pieniążki idą potem na pokrycie deficytu innych imprez — powiedzmy: koncertów dla szkół — i tak to się jakoś z biedą lata. Że jednak wszystko, nawet łatanie, winno być zaplanowane, przeto „Estrada" zaplanowała sobie na rok bieżący zarówno dochód, jak i wydatki z funduszu bezosobowego.

Tu już, kto bystry, odnalazł zapewne pogrzebanego psa. „Estrada" grubo przekroczyła planowany dochód, ale „napięła" też fundusz bezosobowy... Może zarabiać, ale nie może już nic wydawać, a że zanim gotówka wpłynie do kasy trzeba coś zainwestować, opłacić artystów i tak dalej, przeto kółeczko się zamyka zaplatając w zgrabną pętelkę. Możemy też wyobrazić sobie taki na przykład dialog.

Mówi przedstawiciel bogatej w forsę na reklamę instytucji X:

— Macie tu, gentelmani, ładną cyferkę z pięcioma zerami na końcu, sprowadźcie tego, tamtego i jeszcze Violettę Villas, poczym zareklamujcie nas przed narodem na dziesięciu, powiedzmy, koncertach.

Na to „Estrada":

— Ba, wziąć możemy, dlaczego nie, ale z wykonawców nikt u nas do przyszłego roku grosza nie uświadczy, co najwyżej może dostać w zastaw dyrektorski sygnet.

— Na Jowisza — wołają tamci — to cóż my, biedni bogacze, poczniem z pieniędzmi pod koniec budżetowego roku?!

— Cśś, psst — mówi zasromana „Estrada" — kręcą się jeszcze po Polsce prywatni impresaria, oni wam z największą radością rozchodują wszystko co do grosika...

I tak toczy się ten dialog tragiczny. Nas wszelako najbardziej boli małoduszność kierownictwa „Estrady": tylu ludzi siedzi w Polsce za rzeczy brzydkie, podłe, a oni — pamiętając, że zyski pójdą na cele godziwe, na kulturę, na koncerty szkolne — tak przywykli do wygodnych foteli, że boją się nadstawić karku. Przecież wyroki nie powinny być surowe.

Cztery złote na głowę

Na koniec czerwca 1961 zaległości za czynsze w Łodzi wynosiły blisko 2 miliony 700 tysięcy złotych. Ponad milion zalegają właściciele prywatnych lokali użytkowych, ponad pół miliona — instytucje uspołecznione i blisko milion — „indywidualni" obywatele winni za swoje mieszkania.

W jednym tylko miesiącu sierpniu bieżącego roku dokładnie 6479 najemców nie uregulowało komornego. Najbardziej „efektownie" sierpień wypadł na Bałutach, gdzie powstały zaległości sześciokrotnie większe niż na Widzewie, a prawie 1 i pół raza większe niż w Śródmieściu.

Chcąc wytłumaczyć poglądowo wielkość tych zaległości, wystarczy stwierdzić, że na głowę każdego łodzianina, od niemowląt do staruszków, wypada średnio około 4 złote długu.

Cała nadzieja w statystyce, bo skoro ludności ciągle przybywa, dług przecież będzie malał.

„Na nosa"

W czasie wizyty w Piotrkowie w dniu 30 września bieżącego roku ze zdumieniem stwierdziliśmy, że Komenda Miejska MO nie dysponuje planem trybunalskiego grodu. Był tylko spis ulic, który potwierdził istnienie poszukiwanej przez nas ulicy Wschodniej. Natomiast na temat, w jakim punkcie miasta leży rzeczona Wschodnia, wybuchł gorący spór między zgromadzonymi w dyżurce milicjantami. Wreszcie jeden z funkcjonariuszy autorytatywnie stwierdził: „To musi być tam". i pokazał wyciągniętą ręką odpowiednią stronę świata. Wyczucie, czyli „nos" owego funkcjonariusza okazał się niezawodny, „to" rzeczywiście znalazło się mniej więcej „tam".

Swoją drogą ciekawi nas, jak długo jeszcze milicja w kilkudziesięciotysięcznym mieście zamierza pracować „na nosa" i co dzieje się wówczas, gdy odpowiedni funkcjonariusz (ten z „nosem") akurat nie ma służby?

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Kazimierz Łuczak

Za dolarki

Od pół roku działa w Łodzi ekspozytura Banku Polska Kasa Opieki. Dzięki temu łodzianie posiadający hojne rodziny za granicą nie muszą już po każdy sweterek podróżować do Warszawy.

Dzięki temu również możemy do pewnego stopnia zbadać nasz łódzki prywatny rynek dewizowy.

Codziennie w ekspozyturze realizuje się od 10 do 50 nadchodzących z zagranicy przekazów. Na tym jednak nie kończą się obroty placówki. Każdego dnia około 150 osób kupuje tu za dolary wysupłane „z pończochy" czyli z własnych zapasów. Zakupy za „krajowe" dolary dają około 20 procent obrotu. We wrześniu tego rodzaju zakupy zmalały dziesięciokrotnie, bo tknięci panika posiadacze dewiz schowali dolarki na „czarną godzinę". Teraz znowu wyciągają.

Kurs dolara w Banku „Pekao" wynosi aktualnie 72 złote. Korzystając z tego, przed wrześniem około 2/3 posiadaczy przekazów realizowało je, pobierając równowartość w złotówkach. Obecnie takie transakcje stanowią tylko połowę, ale ich ilość znowu powoli wzrasta. Jak w krzywym zwierciadle odbijają się tu istotne problemy rynku, zaufania do pieniądza, itd.

Najchętniej posiadacze walut i przekazów kupują wciąż jeszcze sweterki i skarpetki „helanco". Jednorazową porcję skarpetek dla klienta musiano ograniczyć do 20 par. Około 10 procent obrotu stanowią polskie wódki eksportowe. Najwięcej „spirytualiów" sprzedaje się w soboty i inne dni, kiedy sklepy państwowe wstrzymują sprzedaż alkoholu. Okazuje się, że jak ktoś ma ochotę na kielicha, znajdzie na to nawet dolary. Jest to zresztą „interes", bo w „Pekao" wódka kosztuje taniej niż na rynku, np. pół litra „Eksportowej" — 85 centów, czyli poniżej 60 złotych.

Łódzkiej ekspozyturze niesposób równać się z takimi potentami, jak na przykład rzeszowska, ale i u nas idzie nieźle. Wkrótce ekspozytura, zamiast pięć godzin jak dotychczas, będzie urzędować dziewięć godzin dziennie, za jakieś pół roku otworzy się drugi sklep z towarami „Pekao". Od listopada będzie można kupować także za funty angielskie, franki francuskie i marki zachodnioniemieckie...

Kierownik placówki, p. Roman Majer, twierdzi, że ekspozytura rozczarowała tylko grubych handlarzy. Ci mają tu za mały wybór i dalej jeżdżą po towar do Warszawy. Charakterystyczne, że przed sklepem nie spotyka się jak w Warszawie na Mazowieckiej, spekulantów, którzy wykupują przekazy od posiadaczy, by robić na tym „złote interesy".

Powtarza się więc i tu nasza łódzka zasada: choć biedni ale rzetelni.

Włamanie na zlecenie

Do jednego z łódzkich sklepów MHD-Odzież dokonano włamania i zabrano towary wartości 413 tys. zł.

W czasie dochodzenia ustalono, że w sklepie były niedobory, o których milczeli nawet kontrolerzy, gdyż kierownik sklepu Franciszek D. regularnie płacił im łapówki... za milczenie. W końcu jednakże dokuczyło obrotnemu kierownikowi finansowanie kontrolerów, wynajął więc dwu włamywaczy Czesława i Mirona S., którzy za cenę 70 tys. zł i na zlecenie Franciszka D. wykonali upozorowane włamanie od wewnątrz sklepu zabierając towary. Prowadzący dochodzenie milicjanci okazali się sprytniejsi i szybko rozszyfrowali plany pana kierownika obliczone na... zamaskowanie niedoborów.

Poławiacze naiwnych

Niemały zmysł handlowy wykazała dyrekcja MHD-Śródmieście (Art. spożywcze) fundując dla klientów sklepów SAM polietylenowe pół-kilogramowe torebki, ozdobione reklamowym nadrukiem firmowym.

Klienci, którym ekspedientki wręczały tak opakowane towary rozpływali się z zachwytu z zadowoleniem oceniając rosnący poziom usług handlowych w naszym mieście.

Niestety — przy kasie zrzedła im mina. Okazało się bowiem, że za owe reklamowe torebki musieli płacić po 2 zł. od sztuki.

Wymagania czarnej madame

Czarne klientki z Afryki, dla których produkujemy prawie 80 proc. naszych kretonów, są niezwykle czule na najmniejsze niedokładności w koloryzacji i wzornictwie eksportowanych na afrykańskie rynki tkanin.

Wyrazem tego jest wzrost reklamacji otrzymywanych przez CeTeBe, które w I półroczu br. wzrosły o 0,28 procent. Połowa tych reklamacji dotyczy właśnie niewłaściwego wybarwienia i niezbyt udanych wzorów.

Słowem — uważajcie włókniarze! Czarna madame ma nie gorsze oko niż jej biała siostrzyca z Łodzi czy Warszawy.

Wyjątkowe miasto

Pabianice są chyba jedynym większym w woj. łódzkim miastem gdzie od czterech lat nie notowano w kronikach milicyjnych ani jednego włamania. Zdaniem komendanta MO kpt. Owczarka tajemnica kryje się po prostu w tym, że istnieje tu b. dobra współpraca MO ze społeczeństwem w zakresie tzw. profilaktyki.

Na profilaktykę składają się m. in. częste spotkania przedstawicieli MO z pracownikami zakładów przemysłowych, robocze narady z dyrektorami zakładów itp. Jedyną plagę, jaka trapi pabianicką milicję — stanowią nitkarze, nielegalni wytwórcy tkanin wełnianych. Ale i na nich przyjdzie kryska, tak samo jak na włamywaczy.

Ślepe uliczki?

Żywotny Ośrodek Badawczy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włókniarzy wziął ostatnio na warsztat szkoły przyzakładowe przemysłu włókienniczego. Jak wynika z badań szkoły te, powołane do życia w roku 1959, przeżywają rozwój ilościowy, ale wykazują zarazem dość istotne niedomogi jakościowe. Z grubsza można powiedzieć, że model szkół przyzakładowych nie odpowiada życiowym aspiracjom młodzieży. Ciekawe, że połowa uczniów znalazła się w tych szkołach przypadkowo, niejako z „braku laku" — po nieudolnych próbach dostania się do innych typów szkół. Z grupy 235 badanych uczniów zaledwie 3 dokonało świadomego wyboru przyzakładowej szkoły włókienniczej. Równocześnie 65 proc. uczniów deklaruje chęć dalszego kształcenia się po ukończeniu szkoły przyzakładowej, a tylko 39,5 proc. pragnie się doskonalić we włókiennictwie. Bieda w tym, że przy obecnym statucie szkół przyzakładowych nie dają one szans i prawa do dalszej nauki. W ogóle szkoły przyzakładowe są tworem jakiejś drugiej kategorii. Mieszczą się w lichych lokalach, nie są wyposażone w żadne urządzenia i pomoce szkolne, mają niewiele wspólnego z „prawdziwą szkołą". Wywołuje to dość oczywiste trudności wychowawcze wśród uczniów, którzy w dodatku pozbawieni praw danych rówieśnikom ze szkolnictwa ogólnokształcącego (legitymacje, zniżki kolejowe itp.) po prostu nie czują się uczniami.

Kierownik Ośrodka Badawczego Włókniarzy mgr Józef Marczak nie bez kozery nazywa szkoły przyzakładowe "ślepymi uliczkami" w strukturze naszego szkolnictwa. Miejmy nadzieję, że wyniki cytowanych badań podjętych zresztą w samą porę, przyczynią się do przebicia tych uliczek.

Korespondencja

SZ. PANIE REDAKTORZE!

W nr 40-tym Waszego poczytnego tygodnika na ostatniej stronie w „Odgłosach Tygodnia", został zamieszczony krótki artykuł pod tytułem „Walcoryt"?

Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie jedna nieścisłość.

Jak sama nazwa wskazuje (Rytownia Walców „Walcoryt") pracownicy tej instytucji mają do czynienia z r y t o w a n i e m i walcami a nie z ryciem.

Nie wiemy czy ta pomyłka powstała na skutek złej informacji, czy też z innej przyczyny, jednak jest ona bardzo istotna.

Na zakończenie prosimy o zamieszczenie niniejszego sprostowania i zapraszamy Pana Redaktora po naszej przeprowadzce do nowego budynku.

Łączymy pozdrowienia.

pracownicy „Walcorytu"
następuje 20 podpisów
(nieczytelnych)

OD REDAKCJI:
Wyjaśniamy, że wcale nie chcieliśmy ryć pod „Walcorytem" i list pracowników tego zacnego zakładu traktujemy jako świętą obronę zawodowej dumy.

Wytrzeźwieli po drodze

Obywatela K. łódzka MO zatrzymała o godz. 20.40. Był pijany. Po parogodzinnym pobycie w komisariacie i na punkcie zbornym dla pijaków odwieziono go do izby wytrzeźwień o godz. 0.15. Po drodze zdołał wytrzeźwieć... zażywając bezpłatnych przejażdżek po mieście w milicyjnym wozie. Ob. B. zatrzymano w stanie nietrzeźwym o 17.30, odwieziono zaś do izby wytrzeźwień o 22. 30. Również wytrzeźwiał po drodze... Przeciętnie co kwartał omija w ten sposób izbę wytrzeźwień od 100—200 pijaków, którzy zanim są odwiezieni do Izby — trzeźwieją. Istnieje więc pilna potrzeba zwiększenia środków transportowych i usprawnienia pracy MO na tym odcinku... żeby uniknąć zbytecznej kolomyjki.